

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 31 października 1948 r.

Nr 44 (173)

W NUMERZE

między innymi:

- A. Radyszczew — Z „Podróży z Petersburga do Moskwy”
I. Kulczycka-Saloni — Sprawa chłopska w publicystyce wczesnego pozytywizmu
M. Grad — Wieś W. na społeczno-gospodarczej mapie świata
L. Szwengrub — „Ostrowianka”
P. Chmura — Pod Ostrowem Mazowieckim
E. Niziurski — Pieniądz i filantropia na prowincji
W. Łukaszewicz — Jaką młodzież przyjmujemy na uniwersytet
A. Kamińska — Wiersze
J. Miller — Uwagi o „Dziwnej zabawie”

Bronisław Urbanowski

DROGI I ROZDROŻA LITERATURY CHŁOPIEJSKIEJ

Kiedy rozglądamy się po literaturze dwudziestolecia międzywojennego, uderza nas chyba najbardziej brak na odpowiedniej pozycji literatury chłopskiej lub raczej może obecność jej na osobliwych pozycjach.

Truizmem jest przypomnienie, że przedstawiciele jej są nieliczni wtedy. Zmniejsza to oczywiście ich szanse na zajęcie pozycji czołowych w literaturze narodowej. — Nie o te pozycje jednak chodzi.

Te same przyczyny, które opóźniły powstanie licznej warstwy inteligencji wiejskiej i udział jej w ogólnonarodowej twórczości kulturowej, powinny uwarunkować jej postawę i jej treściową pozycję w dorobku literackim dwudziestolecia.

Sprawa zależności świadomości społecznej autorów od przynależności do warstwy, bo o to właśnie chodzi, nie jest jednak tak bezpośrednia, ani tak prosta jak mogłoby się wydawać.

Być może kiedyś szczegółowa analiza socjologiczna ustaliłaby to dokładnie. W chwili obecnej poprzestać trzeba na rejestracji kilku faktów. Mam wrażenie, że mogą one rzucić nieco światła na sytuację we współczesnej twórczości literackiej chłopów.

Kiedy w roku 1935 ukazały się „Pamiętniki chłopów”, z miejsca stały się rewelacją, rewelacją — powiedzmy to odrazu — szczególnego rodzaju. Z kart tych autobiografii pisanych nieortograficznie i niegrammatycznie, gdzie pragnienie dojścia do głosu przeważało nad nieprawdopodobnie trudnością w znalezieniu odrębny czasu i warunków, żeby dać świadectwo o życiu ludzi sobie podobnych — była naga prawda o wsi polskiej. Nie owej „wsi spokojnej, wsi wesolej”, ale nieprawdopodobnie zapóźnionej gospodarczo, społecznie i kulturowo, wsi przeludnionej i pozbawionej ziemi, wsi miotającej się, by znaleźć wyjście z matni. Gdzieś wtedy jednak było miejsce na wyciągnięcie z tego konsekwencji? Czy inteligencja ówczesna była siłą społeczną decydującą na podjęcie tego zadania w skali ustrojowej? Byłoby naiwnością przypuszczać, że mogła tego dokonać. Naiwnością nawet byłoby mniemanie, że była w ogóle siła. A komuż z jej mocodawców mogło zależeć na uporządkowaniu spraw wiejskich?

Tym więcej przeto smakowano w surowym prymitywie tych autentycznych dokumentów niedoli chłopskiej. Brzmiały to nieco dziwacznie, ale rzecz można, że prymityw stał się zgoda warunkiem, pod którym dozwolono tym ludziom sprokowanym do głosu przez socjologów mówić w obrębie literatury na tematy najdrastyczniejsze w sensie społecznym. Ba! więcej. Z entuzjazmem udzielano tym prostaczkom miejsca w literaturze pięknej, choć wiadomo, jak w owym czasie o to miejsce było trudno; oceniano autorów niektórych pamiętników na miarę Hamsuna. Dziś łatwiej nam rozpoznać się w tym, co to znaczyło i o ile łaskawy patronat nad prostaczkami był wyrazem społecznego protestu, o ile zaś był wyrazem słabości i niechęci do trzeźwego rozejrzenia się w sprzecznościach społecznych Polski przedwójnej i jej zajęcia odpowiedniej postawy.

Niewątpliwie jest jednak, że nie chcieliśmy owej prawdy widzieć tam, gdzie występowała ona zbrojna w arsenal środków właściwych literaturze inteligencji.

Lekceważono przecież wtedy służące sprawie chłopskiej powieści Wł. Kowalskiego, L. Kruczkowskiego, W. Wasilewskiej z powodów nie najistotniejszych w stosunku do intencji, jakie tym autorom przyswieceły.

Prawda o położeniu służby folwarcznej w powieści Wasilewskiej wydawała się tylko propagandą wywrotową. Tym samym łokciem mierzone dokonana przez Kruczkowskiego próba rozwiania narodowych mitów o solidarności szlachty i chłopów, o identyczności interesów tych klas w akcjach wyzwoleniczych, oraz dramatyczny obraz stosunków między dworem a wsią w powieści Kowalskiego.

Z zyczliwością, na jaką mogły, pozwolić interesy własnej klasy, ostrożność i troska o „poziom”, przyjmowano te utwory w kręgach postępowej, liberalnej, mieszczańskiej inteligencji, w kręgach, które hodowały literaturę „złego sumienia”, protestu, humanitaryzmu i pacyfizmu.

Ale Kruczkowski, Wasilewska i Kowalski byli „komunistami”. Gdzież tedy działał główny korpus nielicznej literatury chłopskiej? Toż można wymienić Kurka, Piętaka, Burka, Kędziore, Kosełę, Pietrkiewicza, Czernikę, Ożoga, Frasiaka, Olchę, Mortonę, by poprze-

stać tylko na najznaczących. Gdzież ich szukać na ówczesnej mapie społecznej?

Nie ma ich w obrębie literatury mieszczańskiej. Dystans między literaturą tej klasy a literaturą chłopską jest mimo wszystko zbyt znaczny, aby udało się im go przeskoczyć, niezależnie od determinatów klasowych. Stachowski w „Skamandrze” był chyba unikatem.

W drugim natomiast ugrupowaniu, ugrupowaniu opartym o bazę inteligencji typu urzędniczego, jeśli tak rzecz można, powołanej do życia przez odrodzenie Państwa i specyfikowanie się funkcji w jego obrębie, literatów chłopskich można znaleźć daleko więcej. Sprawa chłopska uderzając falą w tzw. nawę państwową zagrażała m. in. bezpośrednio tej inteligencji i domagała się od niej zajęcia jakiejś postawy. Zbliżenie literatów chłopskich do tego ugrupowania ułatwiał być może fakt, że inteligencja urzędnicza ówczesna była w bądź co bądź znacznym odsetku dość niedawnego stępla (szczególny w tym udział Małopolan, w Galicji bowiem już wystąpił proces licznej rekrutacji inteligencji do służby w aparacie państwowym z warstwy ludowej). Historycy oceni także, jakie znaczenie miał flirt z awangardą i na tej bowiem płaszczyźnie dokonywało się zbliżenie, czego najwybitniejszym dowodem Czechowicz i Piętak.

Nie poezja była jednak groźna, ale proza, powieść, owo „zwierniactwo życia”. Gdy prąd o stosunkach panujących na wsi stała się zbyt oczywista i natrętna, by udało się ją uwiecznić, próbowano ją przynajmniej w literaturze zeskamotować i zołojnić.

Taki los spotkał powieść reportażową Jalu Kurka „Grypa szaleje w Naprawie”. Artystycznie na pewno nie lepsza od powieści Kruczkowskiego, Kowalskiego czy Wasilewskiej miała dla reżimu tę zaletę, że — choć w jaskrawy sposób malowała stosunki na wsi podgórskiej — nie zawierała generalnego ataku na system społeczny, na ustrój. Zrobiono dobrą minę do złej gry i przyznając Kurkowi „Nagrode Młodych” P. A. L.-u rozbrojono ją społecznie udając zrozumienie i troskę dla zagadnień wsi. Podobnie postąpiono ze Stanisławem Piętakiem, który w powieści „Młodość Jasia Kunefala” przedstawił sprawę ciężkiego losu inteligencji ludowej bez szans i bez perspektyw. Podobnie złoza został — skoro już o tym mowa — palący problem losów emigracji wiejskiej, poruszony w powieści Wiktora „Wierzy nad Sekwaną”. W podstawowym zagadnieniu wadliwej struktury-gospodarczo-społecznej kraju chciano widzieć raczej krytykę bezczynności naszych przedstawicieli zagranicznych. Troska ustrojowa schodziła do rzędu bolączek biurokratycznych. Na ile te zabiegi ułatwiali sami autorzy nie jest tu ważne, ale patronat rozłoczony przez P. A. L. obowiązywał młodych, nawet gdy wydawało się to jaskrawym radykalizmem społecznym, jak w wypadku Kurka.

Wszystko to przecież trzeba brać w odpowiedniej proporcji, pamiętając, że odbywało się to na „wyższym zagonie twórczości” — jak mawiał prof. Pięgoń.

Cóż znaczyła bowiem dla budzenia świadomości społecznej chłopów, a więc warstwy, z której pisarze chłopscy wyszli, powieść w kraju, w którym z reguły rozchodziła się ona w pięciu tysiącach egzemplarzy. Nawet gdy miała ona dwa i trzy nakłady — można było być pewnym, że nie wiele owych egzemplarzy dotarło na wieś.

Wsi brakowało przede wszystkim gazet, czasopism dostępnych w cenie i dostosowanych do potrzeb umysłowych. Mówiac o odbiorcach gazet na wsi mam na myśli inteligencję głównie, inteligencję chłopską, która z najrozmaitszych powodów pozostawała na wsi. Stąd inicjatywa kilku pisarzy ludowych wydawania w l. 1933—34 w Naprawie miesięcznika „Wieś — jej pieśń”, jakkolwiek nawiązująca do tradycji czasopism ludowych, z jej konsekwencjami w treści i formie, miała doniosłe znaczenie. Dawała ona pisarzom ludowym możliwości wypełnienia tych funkcji jakie nakładała na nich przynależność klasowa, w sposób bezpośredni. Pismo egzystowało krótko. Przestało wychodzić z powodu trudności materialnych, ale odegrało w tym czasie znaczną rolę w organizowaniu piarstwa ludowego i wytyczaniu mu zadań. Szczególnie pod koniec jego istnienia zaznaczała się bezkompromisowość i klasowy punkt widzenia nie ułatwiał mu żywota. Nawet wśród współpracowników, zwłaszcza starszych, przywykłych do roli „samowolnych dudarzy, lirników i gawędziarzy”, po-

wodowało to kwasy i niechęć. Inteligencki patronat i łaskawa tolerancja dla samorodnych talentów ciążyły na nich mocą wiekowej prawie tradycji.

Zresztą świadomość społeczna wsi nie była w owym czasie jednolita i być nie mogła, choćby ze względu na wewnętrzne zróżnicowanie gospodarcze. Najwcześniej docierali do kultury, do pozycji inteligenta, a w każdym razie mieli najwięcej szans na to — najzamożniejsi oraz ci, którzy z miejsca poddali się patronatowi dworu lub plebanii. Stara to historia, historia m. in. Ludowo - Narodowców i można było o niej nie wspominać, gdyby nie odżyła ona nagle z całą siłą w tym czasie. Cała prawie wieś miała w ówczesnym układzie stosunków powody do niezadowolenia. Nie dziwne przeto że gdy do wsi przypuściło szturm drobnomieszczaństwo, wywodzące się z Narodowej Demokracji, odnowione i rozzuchwalone przykładem Włoch i Niemiec, usiłujące zyskać najbliższych sobie kulturowo i społecznie sojuszników, znaczny odłam chłopstwa uległ. Do konserwatystów chłopskich apelują młodzi faszysty argumentami religijnymi, rasowymi, tradycjonalizmem kulturowym, antyurbanizmem i antyindustrializmem. Radykałów bałamuca wskazując z uporem maniaków na sprawę żydowską, jako źródło wszelkiego zła społecznego, od jej rozwiązania bowiem zależy w ich mniemaniu rozwiązanie sprawy: przeludnienia wsi, odpływu nadmiaru ludności wiejskiej do miast, warsztatów pracy dla tej ludności w handlu. Były tylko przyczyniły się do zniszczenia konkurencyjnego straganu żydowskiego. Pseudorewolucyjna dynamika, podrażniony kompleks niższości popchnęły wielu pisarzy chłopskich, od bezinteresownych liryków poczynając, a kończąc na publicystach chłopskich, w objęcia faszystów. Warto przypomnieć, to właśnie Stanisław Piasecki, redaktor „Prosto z Mostu” dokonał mobilizacji znacznego odłamu literatury chłopskiej pod hasłem „Marsz chłopów na Warszawę”.

Propagowany przez „Prosto z Mostu” mit narodowej „krzepy”, bezpośredniości, mit szczególnej wartości prowincji zbiegał się z programem autentyzmu w poezji lansowanym przez prowincjonalne czasopismo literackie, wydawaną przez St. Czernikę „Okolicę poetów”.

Chłopskość Młodożeńca, ojdadanaistycznego poety, nie wystarczała programowo „Prosto z Mostu”, toteż wkrótce apogeum sojuszu drobnomieszczańskiego - chłopskiego osiągnięto w wysunięciu na czoło „chłopskiego” poety, autentysty i młodonacjonalisty Jerzego Pietrkiewicza, oraz Wincentego Burka, wyrażiciela konserwatywnych chłopskich mitów „samodzielnej parceli” w prozie.

Dla uzupełnienia obrazu literatury na tematy chłopskie dodać trzeba, że w okresie dwudziestolecia międzywojennego, dokładnie pod jego koniec, szczególną popularnością cieszyły się w Polsce powieści skandynawskie, w znany sposób mitologizująca życie chłopskie. Epopeje chłopskie Skandynawów szerza kult odrębności etnograficznych, chłopa — człowieka wiecznego, oraz siły jego instynktu. Te skandynawskie normy ideowe i artystyczne nie były naszej rodzimej literaturze całkiem obce. Wystarczy tylko wskazać na Reymonta i Tetmajera choćby. Z nowych owoców tego kierunku wymienić należy powieść najwybitniejszą, Szelburg — Zaremby „Wędrowną Joannę” i „Ludzi z wosku”, gdzie na wspólnym planie znalazło się zamożne chłopstwo i drobnomieszczaństwo. I tutaj chłop był satelitą. Mam na myśli drugą z rzędu, wydaną przed wojną, powieść Mortonę „Wawrzek syn Wawrzyńca”.

Po takich ścieżkach kroczyła polska literatura chłopska przed drugą wojną światową.

Z momentem hitlerowskiego wydawało się, że sprawa literatury chłopskiej kapitalnie wyjaśniła się i upraszcza. Chłopskie ugrupowania partyjne stają się współdyktantami środków wiodących do kultury mas wiejskich. Rząd i partie wzmagają świadomość siły młodej inteligencji ludowej, której wieloma sposobami ułatwia się dostęp do kultury. Mnożą się wydawnictwa o charakterze kulturalno - oświatowym, mnoży się liczba czasopism, powstają instytucje służące kulturze, w których chłop, chłopski inteligentni zawarowane mają miejsce. Opiekę nad twórczością ludową obejmuje państwo. Przed literaturą chłopską otwiera się szerokie pole do organizowania świadomości społecznej i wyobraźni wsi.



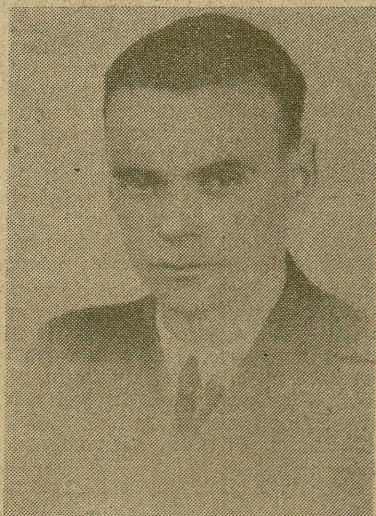
Julian Gałaj



Stanisław Piętak



Józef Pogan



Teodor Goździkiewicz

— Nie puszczaj go, miła Anusiu, nie puszczaj. Idzie na własną zgubę. Nauczy się tam pić, puszczając pieniądze, być chciwym, nie lubić roli, a przede wszystkim przestanie cię kochać.

— Ach, panie, nie strasz mnie, rzekła Aniuśka prawie płacząc.

— A tym bardziej Anusiu, jeżeli mu się przydarzy służyć w szlacheckim domu. Przykład państwa zarazą wyższą służbę, niższą zarazą się od wyższej, a od niej truciźna rozpusty dociera i do wsi. Przykład to prawdziwa dżuma; co kto widzi, to naśladowe.



— Więc co robić? W ten sposób nigdy nie wyjdę za mąż za mego Wanie. Czas mu się już żenić. Za innymi się nie ugamia. Mnie za niego nie wydadzą z domu; gotowi jeszcze wysłać mu inną, a ja nieszczęsną umrę ze zmartwienia... — mówiła to, roniąc gorzkie łzy.

— Nie, moja miła Anusiu. Już jutro za niego wyjdiesz. Zaprowadź mnie do swojej matki.

— Oto nasza zagroda — rzekła zatrzęsniętą głową. — Idź, idź, matka jeszcze gotowa zobaczyć i pomyśleć co złego, a choć mnie nie bije, to jedno jej słowo byłoby dla mnie cięższe od wszelkich rąk.

— Nie, moja Anusiu, pójde z tobą... — i nie czekając na jej odpowiedź wszedł przez wrota i prosto po schodkach do chaty. Aniuta wołała w ślad za mną: „zaczekaj, panie, zaczekaj!”, ale jej nie słuchałem. W chatce znalazłem matkę Aniuty, gdy miesiała ciasto w dzieży. Obok niej na ławce siedział jej przyszły zięć. Bez dłuższych wstępów powiedziałem, że pragnę, aby córka jej wyszła za mąż za Iwana i że w tym celu przyniosłem to, czego potrzeba dla przezwyciężenia przeszkód w tej sprawie.

— Dziękujemy, panie — rzekła stara — jest to już teraz niepotrzebne. Właśnie Wania przyszedł powiedzieć, że ojciec puszcza go do swojego domu i w niedzielę będzie ślub.

— Niechże to, co dajem, będzie posagiem dla Aniuty.

— I zo to dziękujemy. Posag bojarzy nie za darmo dają dziewczętom. Jeżeli zrobiłś co mojej Aniucie i za to jej dajesz posag, to Bóg cię ukarze za swoją rozpustę, a pieniądze nie wezmę. Jeżeli zaś jesteś dobrym człowiekiem i nie natrąszasz się z ubogich, to gdybym wzięła od ciebie pieniądze, żli ludzie mogliby sobie nie wiadomo co pomyśleć.

Nie mogłem się nadziwić, znajdując tyle szlachetności w sposobie myślenia wieśniaków. Tymczasem Aniuta weszła do chaty i chwaliła mnie przed matką. Usiłowałem jeszcze dać im pieniądze, oddając je Iwanowi na urządzenie domu, ale powiedział mi: „Mam panie dwoje rąk, to nim urządzę sobie dom”. Zauważywszy, że moja obecność była niezbyt dla nich przyjemna, porzuciłem ich i wróciłem do mojej kibitki.

Przez całą drogę z Jedrowa Aniuta nie wychodziła mi z myśli. Niewinna jej szczerość podobala mi się niezmiernie. Szlachetny postępek jej matki oczarował mnie. Tę czcigodną matkę z zawiniętymi rękawami przy dzieży, albo ze skobkiem przy krowie porównywałem z matkami miejskimi. Wieśniaczka nie chciała wzięć ode mnie nieskazitelną, chętnie ofiarowanych stu rubli, które w stosunku do stanu odpowiadają dla Pułkownikowej, Radczyni, Majorowej, Generałowej, pięciu, dziesięciu, piętnastu tysiącom czy nawet więcej. Gdyby zaś pani Pułkownikowej, Majorowej albo Generałowej... (w odpowiednim stosunku do mego datku dla jedrowskiej żony woźnicy) mającej niebrzydki córceczkę albo choćby tylko ciotniwą — to by wystarczyło — jakiś bogaty szlachcic siedemdziesiątej, czy też, Bóg uchołwa, siedemdziesiątej drugiej próby ofiarował pięć, dziesięć, piętnaście tysięcy czy inne nieokreślone wiano, albo też wynalazł bogatego narzeczonego, to pytam was wiejskie matki, czy nie drgnęłyby wasze serce? Czy nie zechciałybyście ujrzyć waszą córceczkę w wyłożonej karecie, w brylantach, jadącą czwórka, jeżeli chadzała piechota, albo jadącą cugiem zamiast w dwie zagłondzone skłapy, które ją zwykle ciągną? Zgadzałem się co do tego z wami, że dochowałybyście obrzędów i dobrych obyczajów i nie uległy tak lekko, jak dziewczęta z teatru. Nie, moje miłe, daję wam termin za miesiąc lub dwa, ale nie dłużej, bo jeśli dłużej będziecie zmuszać do bezpłodnego wzdychania takiego protektora pierwszej rangi, to ten, ponieważ jest zajęty sprawami państwowymi, rzuci was, aby nie tracić z wami cennego czasu, który lepiej może zużyć ku pożytkowi społecznemu. — Słyszcie już, jak podnoszą się przeciwko mnie tysiące głosów, jak wymyślają mi szkaradnymi wyrazami: oszust, łotr, kanalia, bestia itd... Najmilsze, uspokojcie się, nie uwładcam waszej czci. Czyż wszystkie są takie? Spójrzcie w zwierciadło: która spośród was pozna się w nim, ta niech mi wymyśla bez miłosierdzia, skarż na nią nie złoże, do sądu pozywać nie będę.

Anusiu, Anusiu, nabawiłaś mnie zawrotu głowy! Dlaczego nie poznałem ciebie piętnaście lat temu? Twoja szczerza niewinność, nieprzystępna dla lubieżnych zakusów, nauczyłyby mnie chadzać po ścieżkach cnoty. Dlaczego moim pierwszym w życiu pocałunkiem nie był ten, który złożyłem na twoim policzku w zachwycie ducha? Odbicie twej

siły żywotnej przeniknęłoby w głąb mego serca, unikałbym szkaradzeństw, które wypemniały moje życie. Odsunąłbym się od smrodliwych najemników, uszanowałbym małżeńskie łoże, nie naruszyłbym moim cielesnym nienasyceniem związków pokrewieństwa; dziewczęstwo byłaby dla mnie świętym świętym i nie ośmieliłbym się jej tknąć. O moja Anusiu! Siedź zawsze przed zagrodą i dawaj przykład swą nietrwożliwą niewinnością. Jestem przekonany, że zwrócisz na drogę cnoty każdego, kto zaczyna z niej schodzić i umocnisz w niej skłonnego do zbłądzenia. Nie trwój się, jeżeli zakorzeniały w rozpucie, osiwały w objęciach bezwstydu, przejdzie koło ciebie i wzgardzi tobą. Nie usiłuj powstrzymać go słodyczą twojej mowy. Serce jego jest już kamieniem, dusza jego okryła się diamentową korą. Nie zdoła dobroczynne żądło niewinnej cnoty uczynić na niej głębszych rysów. Ostrze jego zeszługuje się po gładkiej powierzchni zatwardziałego grzechu. Uważaj, żeby nie stąpiło się na niej twoje ostrze. Lecz nie przepuść młodzieńca obłożonego w niebezpieczne uroki nadobności; złów go w swoje sieci. Wydaje się być dumny, wyniosły, zapalczywy, bezczelny, łatwo znieważający i krzywdzący. Lecz serce jego na twój widok ustąpi wrażeniu i otworzy się na przyjęcie twego dobroczynnego przykładu, Anusiu, nie mogę się z tobą rozstać, choć widzę już dwudziesty słup, który dzieli mnie od ciebie.

Widać już było stację chołubińską, gdy rozmyślałem jeszcze o dziewczynie z Jedrowa i w zachwycie duszy głośno wykrzykiwałem: O, Aniuto! Aniuto!

Droga była niegładka, konie szły stępą; mój woźnica, słysząc te słowa, odwrócił się do mnie:

— Widać, panie, — mówił z uśmiechem, poprawiając kapelusza, — żeś się na naszą Aniutkę zapatrzył. Ależ to dziewczyna! Nie tobie jednemu nosa utarła... Wszystkich wzięła... W naszej wiosce wiele jest urodziwych, ale wobec niej niech się wszystkie schowają. A jak tańczy! Wszystkich zakasa. Każdego bądź... A jak pójdzie zać w pole... napatrzyć się nie można... Szczęśliwy brat Wanka.

— Czy Iwan jest twoim bratem?

— Ciótceczym. Ależ to chłopak! Jednocześnie trzech zuchów zaczęło chodzić w dźwięk wosłoby do Aniuty, ale Iwan wszystkich się pozbył. Tamci i tak i owak, ale nie z tego. A Wanka? Natychmiast zlapał... (Wjeżdżałszy już w opłotki)... Tak, tak, panie, każdy umie tańczyć, ale nie każdy jest tancerzem — i z tymi słowy podjechał pod dom poczy.

— Każdy umie tańczyć, ale nie każdy jest tancerzem — powtarzałem, wysiadając z kibitki...

KLIN

Ach królu wielki nasz, co ci dzieja Mesyjasz, przydaj rozumu k'mej rzeczy... — tę lu-

Paulina Czyżowa

SENSACJA WIEJSKA

Zgodnie ze swoim charakterem gazety literackiej „Dziennik Literacki” (135.000 egzemplarzy) chwytła i stylizuje fakty kulturalne na sensację dnia.

Ostatni numer „Dziennika” przynosi na pierwszej kolumnie „sensacyjny” artykuł Ireny Merz p. t. „Pochwała żyjących — Jan Marcinek — rolnik, poeta i etnograf”.

Autorka zawiadamia na wstępie, że w lutym b. r. (a więc dobre 8 miesięcy temu) „Jan Marcinek 66-letni chłop ze wsi podkarkowskiej Bienkowie ogłosił na posiedzeniu Polskiej Akademii Umiejętności swoją naukową pracę etnograficzną, wyniki badań nad tekstami szopek i pieśni ludowych”.

„Któż to jest Jan Marcinek ze wsi Bienkowie?” — píše Irena Merz, której fotografię w czytym objęciu z chłopem Marcinkiem widzimy obok. — „Postać zupełnie nie codzienna. Etnograf i pisarz ludowy, dramaturg i epik, a jednocześnie rolnik uprawiający własnymi rękami ziemię. Człowiek, który osiągnął własnym nadludzkim wysiłkiem szczyty naukowe i artystyczne, potrafił pozostać jednocześnie wiernym swojej klasie społecznej”.

Katastrofa środowisk robotniczych i chłopskich przed wojną było właśnie to, że inteligencja pochodząca z ich szeregów nie wracała z powrotem do swego środowiska, traciła nawet często wszelkie poczucie przynależności do niego i wspólnoty z nim”.

Wystarczy ten fragment wstępny artykułu, aby przekonać o typowej błędności ideologicznej, jaką przejawia inteligencja w stosunku do wsi.

Jest moda na wieś, więc ze wsi robi się sensację. Nota? Chciałoby się odesłać autorkę wywiadu z Marcinkiem do wielu artykułów „Wsi”, zawierających analizę kultury ludowej, etnografii i regionalizmu z ich tradycjami społecznymi, pokazujących przykłady „samorodnych” działaczy kulturalnych wiejskich, nie jednostkowe bynajmniej, a typowe dla epoki kapitalizmu wiejskiego i sytuacji kulturalnej wsi popańszczyźnianej. Niestety autorka wywiadu nie wzięła do ręki przed opracowaniem swego artykułu tygodnika „Wies”, nie zająłaby do poematu Marcinka drukowanego we „Wsi” i do historyczno-literackiego komentarza, a przede wszystkim do szeregu publicystycznych artykułów Marcinka we „Wsi”. Informacje swoje o Marcinku i kulturze ludowej wolała czerpać od prof. Pigonia i prof. Seweryna, którzy reprezentują ludomańskie koncepcje kultury wsi.

Toteż przytoczone zdania Ireny Merz mogły być z powodzeniem napisane w osiemdziesiątych latach ubiegłego wieku, w czasie, gdy to Wacław Nałkowski kpił z „chłopomanią idyllką” polskiej inteligencji epoki pozytywizmu.

dową pieśń o Aleksym, Bożym człowieku śpiewał ślepy starzec, który siedział pod bramą zajazdu pocztowego, otoczony tłumem dzieci i młodzieży. Srebrna głowa, zamknięte oczy, spokój malujący się na jego twarzy, zniewalały patrzących na śpiewaka do szacunku. Jego nieuczony, lecz pełen subtelności wyrazu śpiew przenikał w serca słuchaczy bardziej czułych na głos natury niż wykształcone w harmonii uszy mieszkańców Moskwy i Petersburga, którzy słuchają wymyślnych melodii Gabrielli, Marchesi lub Todi. Wszyscy obecni doznali głębokiego wzruszenia, gdy kłński śpiewak, doszedłszy do rozstrzygnięcia swego bohatera, co chwila przerywając się głosem wygłaszał swoją opowieść. Jego zapadłe ocozdło zapamięły się łzami, wypływającymi z duszy czulej na niedole ludzką, potoki łez spływały po policzkach śpiewającego. O naturo, jaką posiadasz władzę! Patrząc na płaczącego starca, załkały niewiasty; z warg młodzieży uleciał nieodstępny uśmiech; na twarzach dzieci zjawiał się lek, nieklamana oznaka słabego, lecz nieznanego odczuwania; nawet wiek męski, tak przywykły do szorstkości, przyoblekł się w powagę. O, naturo — zawołałem znowu...

Jak słodkie jest niebolesne odczuwanie żalu! Jak odnawia ono serce i jego wrażliwość. Plakałem idąc za przykładem woźniców i łyzy owe były równie dla mnie kojące, jak łyzy które płyną z serca Wertera... O mój przyjacielu, mój przyjacielu! Dlaczego nie widziałeś tego obrazu? Razem ze mną łabły łyzy, a słodczy wewnętrznego odczuwania byłaby jeszcze bardziej rozkoszna.

Po skończeniu pieśni wszyscy obecni dawali starcowi jak gdyby nagrodę za jego trud. Przyjmował wszystkie szelagi i groszaki, wszystkie kromki i skłbki chleba dość obojętnie; zawsze jednak zaopatrując swoją wdzięczność ukłonem, zegnając się i mówiąc dającemu: „daj ci Boże zdrowie”. Nie chciałem odjechać bez modlitwy tego oczywiste miłego niebiosom starca. Pragnąłem jego błogosławieństwa na dalszą drogę i dla moich życzliwych. Wydawało mi się i zawsze tak sobie wyobrażam, że błogosławieństwo czułych dusz ułatwia drogę i odbiera moc ciemnom wątpliwości. Podszedłszy ku niemu, do drżącej jego ręki, dłoń równie drżącej z lęku, czy nie robię tego z próżności, włożyłem rubla. Przeżegnawszy się starzec nie zdążył wypowiedzieć zwykłego swego błogosławieństwa dla ofiarodawcy, przejęty niezwykłością odczuwania tego, co leżało w jego dłoni. Zraniło to moje serce. Jak znacznie jest mu miłszy — mówiłem sam do siebie — ofiarowany groszak! Odczuwa w nim zwykłe ludzkie współczucie dla nieszczęścia. Mego rubla zaś przyjmuje zapewne jako objaw pychy. Nie obdarza go swym błogosławieństwem. O, jakże wówczas wydałem się sam sobie mały, jak bardzo zazdrościłem tym, którzy dali śpiewającemu starcowi grosik i kromkę chleba! —

— Czy to nie piątka? — rzeki zwracając swoje pytanie w nieokreślonym kierunku, tak jak i wszystkie swoje słowa.

— Nie, dziadku, to rubel — odparł stojący obok chłopiec. — Po co taka jałmużna? — powiedział ślepiec — opuszczając powieki na niewidzące oczy i zdawał się wyobrazić sobie w myśli to, co leżało na jego dłoni — na co ta jałmużna, gdy nie mogę z niej skorzystać. Gdybym nie był pozbawiony wzroku, wdzięczność moja za nią byłaby wielka. Ponieważ ten rubel nie jest mi potrzebny, mógłbym obdarzyć nim biednego. Ach, gdybym miał go po pożarze, jaki tu się wydarzył, przynajmniej na dobre zamilkłby jęk głodnych piskląt mego sąsiada. Ale co mi teraz z niego? Nie widzę, gdzie go mam nawet położyć; może się on stać przyczyną przestępstwa. Na groszaka nikt się nie pokwapi, po rubla wyciągnie się wiele chętnych rąk. Weź go z powrotem, dobry panie. I ty i ja możemy przez twego rubla uczynić kogoś złodziejem. — O, prawdo, jak ciężka jesteś dla czulego serca, gdy staniesz się wyrzutem.

— Weź go z powrotem, doprawdy jest mi niepotrzebny i nie wart już go jestem, ponieważ nie służyłem wyobrażonemu na nim monarsze. Podobno się Stwórcy, abym będąc jeszcze w rzeźkim wieku, pozbawiony został wzroku. Cierpliwie znoszę Jego ostrzeżenie. Udzielił mi go za moje grzechy... Byłem żołnierzem, brałem udział w wielu bitwach z nieprzyjaciółmi ojczyzny, walczyłem zawsze bez lęku. Lecz żołnierz stale musi ulegać przynusowi. Zajądłność napędliała zawsze moje serce; nigdy nie oszczędzałem leżącego u moich stóp nieprzyjaciela, nie obdarzałem litością, gdy bezbronny o nią mnie prosił. Pełen dumy ze zwycięstwa naszego oręza, gdy biegłem, aby karać i zdobywać, upadłem plackiem, pozbawiony uczucia i wzroku przez pedzącą przed mymi oczami kulę armatnią. O! wy, którzy



pójdziecie w moje ślady, bądźcie mężni, ale pomni na ludzkość. — Zwrócił mi rubla i znów usiadł spokojnie na dawnym miejscu.

— Przyjmij dziadku, swój świąteczny pieróg — mówiła, zbliżając się do ślepego blisko pięćdziesięcioletnia kobieta. Z jakim zachwytem wzięł go w obie ręce.

— Oto prawdziwa dobroczynność, oto prawdziwa jałmużna. Od trzydziestu lat jem ten pieróg w święta i w niedziele. Nie zapomniałaś o swojej obietnicy, która uczyniałaś w młodym wieku. I czy to, co uczyniłem dla twego świętej pamięci ojca warte jest, abyś o mnie do śmierci nie zapomniała? Widzicie, moi drodzy, wybawiłem kiedyś jej ojca od zwichnięcia i częstego dla chłopów pobicia przez przechodzących wsią żołnierzy. Żołnierze chcieli mu coś odebrać, on się z nimi posprzeczał. Rzecz się działała za stodołami. Żołnierze zaczęli chłopca bić; byłem wtedy sierżantem tej rot, do której należał żołnierz, właśnie tamtędy przechodziłem, przybiegłem na jego krzyk i uwolniłem od pobicia, a może od czegoś więcej nawet, ale trudno z góry zgadywać. O tym właśnie przypomniała sobie moja karmicielka, gdy ujrzała mnie tutaj w nędzy. O tym właśnie nie zapomina co dzień i w każde święto. To, co zrobiłem, należało do rzeczy niewielkich, ale dobrych, a rzeczy dobre miłe są Panu, u niego nie ginie

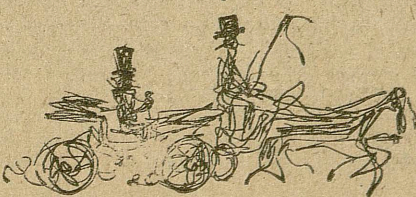
— Czy doprawdy tak mnie skrzywdziłeś wobec wszystkich, starcze — rzekłem — i odrzucił jedynie moją jałmużnę? Czyżby jałmużna moja była jałmużną grzesznika? Ale i ta wychodzi mu na dobre, jeżeli ma zmieścić jego zatwardziałe serce.

— Zasmucał już od dawna zasmucenie serce — odpowiedział starzec — nie wiedziałem, że mogłem sprawić ci przykrość, nie przyjmując jałmużny, która mogłaby mi zaszkodzić; wybacz mi grzech, ale jeżeli już chcesz mi coś dać, to daj coś pożytecznego... Wiosna u nas była chłodna, bolało mnie gardło — nie miałem czym przewiązać szyi — Bóg się jakoś ulitował, choroba mi przeszła... Czy nie masz jakiejś starej chustki? Gdy mnie zabołi gardło, to sobie nią przewiązałem szyję, a wówczas gardło przestało boleć; będę cię wspominał, jeżeli ci jest potrzebne wspomnienie nędzarza.

Zdjąłem chustkę z szyi i zawiązałem ją na szyi ślepego. Tak się rozstaliśmy.

Kiedym wracał przez Klin, nie znalazłem już starego śpiewaka, umarł na trzy dni przed moim przyjazdem. Lecz chustkę moją, jak opowiadała mi ta, która mu przyniosła w święta pieróg, gdy zachorował, złożył na szyję tuż przed śmiercią i z chustką tą złożono go do trumny. O, jeżeli ktoś zna cenę tej chustki, to zrozumie zapewne, co odczuwałem słysząc o tym.

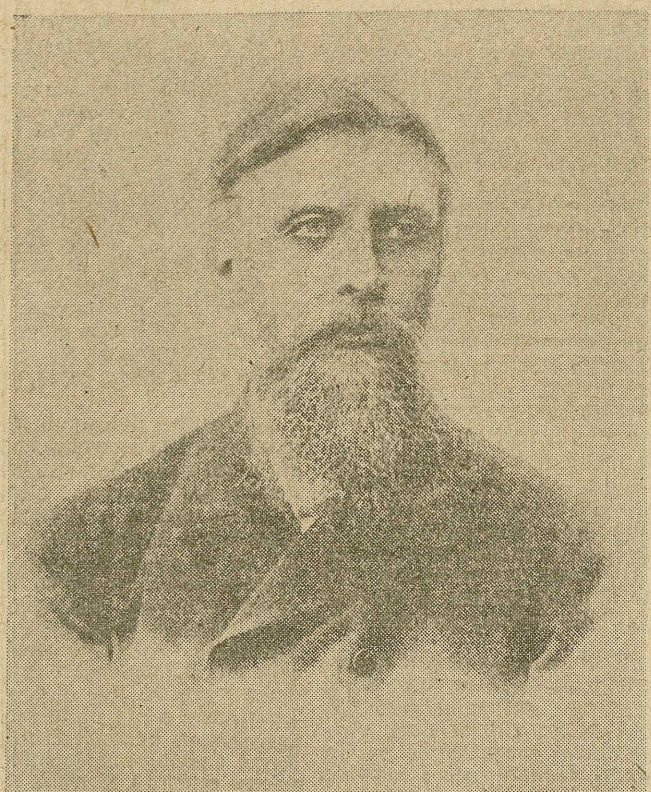
thum. Seweryn Pollak
rys. K. Baraniecki



P. Cz.

Janina Kulczycka-Saloni

Sprawa chłopska w publicystyce wczesnego pozytywizmu



Aleksander Świętochowski

Główna społeczna polskiego pozytywizmu jest obecnie zagadnieniem zbyt szeroko znanym i omawianym, aby tutaj należało raz jeszcze je poruszać. Wystarczy, że tylko przypomnę, że jednym z ważniejszych czynników w kształtowaniu się spłotu tendencji, zwanych pozytywizmem, było uwłaszczenie włościan, dokonane przez rząd carski w r. 1864. O zdarzeniu tym Piotr Chmielowski, jeden z gorliwszych współpracowników i propagatorów tej ideologii trzydzieści lat potem pisze: „Jako ostatnia prawie weszła Polska w koło narodów europejskich za pośrednictwem religii, tak na ostatku w przebiegu swej części pozbyła się resztek średniowiecznego ustroju społecznego. Chłop został nie tylko człowiekiem wolnym, ale i obywatelem kraju”¹⁾.

Ala ta pozytywna ocena, to stwierdzenie, że nareszcie Polska pozbyła się resztek średniowieczności, wypowiedziana została dopiero po latach, kiedy to z perspektywy minionego czasu można było ocenić wszystkie dodatnie konsekwencje tego przewrotu.

Spróbujmy zbadać, jakie stanowisko wobec tego chłopu mianowanego „człowiekiem”, „wolnym”, „obywatelem” zajęła publicystyka wczesnego pozytywizmu, a więc pozytywizm najbardziej młodzieńczy, entuzjastyczny i najbardziej przejęty hasłami humanitaryzmu.

We wczesnych rocznikach „Przeglądu Tygodniowego”²⁾ poruszone są już takie tematy, jak sprawa żłobków dla dzieci matek pracujących, rzucone wezwanie do tworzenia kas pożyczkowych przy fabrykach, opieki nad dzieckiem przestępczym, poruszona sprawa dzieci naturalnych i ich pozycji społecznej. Ale sprawa chłopska zajmuje ideologów pozytywizmu bardzo ubocznie. Wojują oni namietnie i chyba skutecznie o racjonalistyczny pogląd na świat, zwalczają feudalno-kościelne przesady, chcą wyzwoić literaturę od szkodliwych i zabijających ją schematów i podporządkować potrzebom społecznym. Zajmują się sprawą wychowania kobiet, chcieliby je w ogóle zreformować. Widzą szeregi zagadnień miejskich i wskazują mniej lub więcej praktyczne środki ich rozwiązania.

Trudno natomiast znaleźć pozycje poświęcone sprawom wsi. Ci emigranci ze zrujnowanych szlacheckich dworów czy dworów iakoś bardzo prędko zmieszczanieli i zapomnieli o wsi, która była dla nich punktem wyjścia.

A jeśli pamiętali o niej i jeśli uświadamiali sobie dokonane w jej strukturze przemiany, to traktowali je niemal wyłącznie jako kryzys, i katastrofę warstwy ziemiańskiej. Trószczyli się przede wszystkim o to, by powstrzymać dalszy rozwój tej katastrofy, aby uczynić wszystko co pomógłoby utrzymać ziemię w rękach dotychczasowych jej właścicieli. Stąd częste są artykuły utrzymane w rozmaitych tonie, rozmaicie argumentowane, wzywające ziemiaństwo do przystosowania się do zmienionych warunków gospodarki rolnej. Trzeba nauczyć się kalkulowania kosztów produkcji, czego ziemianin polski nigdy nie umiał, bo oparta była ona na powinnościach; trzeba zrozumieć, że kapitał włożony w ziemię musi procentować tak samo, jak

procentuje w każdym innym przedsiębiorstwie przemysłowym.

Z tego naczelnego stwierdzenia płynnie wewzwanie do kultywowania nauk rolniczych, do badania gleby i klimatu polskiego, do zastosowania w rolnictwie najnowszych zdobyczy wiedzy tak, jak to czynią rolnicy Anglii i Niemiec.

Dlatego też, co wyda się nam dziwne, publicyści „Przeglądu Tygodniowego” tacy jak Eugeniusz Mierzwinski, Feliks Ehrenfeucht lub nieznan autor artykułu „Obowiązek i poświęcenie” (1872, nr. 13) walczą o rehabilitację zawodu rolnika, starają się przekonać ziemian, że zajęcie się rolnictwem jest jedynym niezawodnym źródłem bogactwa narodowego, jest szlachetniejszym spełnieniem społecznego obowiązku, niż np. praca lekarza czy inżyniera. Jeśli naturalnie pojmie on swoje zadanie nie jako tradycyjnę: „siej i zbieraj”, jeśli się będzie starał podnieść wydajność i rentowność majątku, jeśli się będzie kształcił i wprowadzał w życie to, czego się nauczył, stanie się jednostką cenną społecznie. Troska o powiększenie dochodowości rolnictwa panuje niepodzielnie u wymienionych pisarzy. Szukają oni środków zaradczych. Widzą je przede wszystkim w kolonizacji t.j. w dzieleniu majątków dużych, a słabo eksploatowanych na mniejsze, a oparte na nowoczesnych zasadach. To samo dotyczy gospodarki hodowlanej, gdzie także propagują zasadę: rób mało a dobrze.

Zgodnie z duchem swojego czasu wołają o zdobywanie i szerzenie oświaty rolniczej, naturalnie tylko na użytek ziemiaństwa przeznaczoną. Oświata, która da możność przeciwstawić się przechodzącej przez Polskę klęsce urodzajów oraz zaradzić całkowitemu prawie wyjałowieniu gleby skutkiem nieracjonalnej gospodarki.

W tym ujęciu chłop jest dla publicystów „Przeglądu” elementem wrogiem: jeśli na ziemiaństwo nasze po powstaniu spadły rozmaite klęski to jedną z gorszych są stosunki z chłopem, występującym w nowej roli.

Revimenny autor artykułu „Obowiązek i poświęcenie” pisze wprost: „Życie rolnika od dawna straciło ten wdzięk poetyczny, opiewany niegdyś przez poetów, opisywany przez autorów, podnoszony przez nich do możliwego szczęścia na ziemi. Być rolnikiem to znaczyło być szczęśliwym, być spokojnym; nie znać tych namietnych wirujących światem, obywatel w dostatku i wyczekiwać przyszłości nie troszcząc się o jutro...”

Rolnik dzisiejszy posiada wyjałowioną ziemię, zniszczone gospodarstwo, skrzywiony własny swój charakter niepraktycznym wychowaniem, a na domiar tego zmuszony jest mieć stosunek z ludem ciemnym, prostaczym, z ludem, któremu wiekowa niewola spacyła pojęcia o sprawiedliwości, słuszności, o jego własnym nawet interesie.”

Tak samo zupełnie traktuje chłopów Feliks Ehrenfeucht, który zastanawiając się nad korzyściami kolonizacji taką między innymi widzi korzyść: „Gdyby do gospodarowania na mniejszych posiadłościach rolnych, nie tylko klasa nieoświeconych naszych włościan, ale i inteligentni ludzie przekonali się chcieli, niewątpliwie szybki postęp rolnictwa przepowiedzieć by można, rola racjonalniej by upełniona była, włościanin nasz przestałby być konserwatystą przez samą emulację z inteligentnymi posiadaczami małych przestrzeni” (1872, nr. 20). Naturalnie w tych warunkach możliwy jest tylko program „odgórny” — oto przedstawiciele warstw wyższych, kulturalnych zniżają się do ludu, aby podnieść go ze stanu, w którym się znajduje. Tak pojmując sprawę Gustaw D. (Doliński?) autor jednego z ciekawszych artykułów w sprawie chłopkiej, ogłoszony w r. 1869, nr. 18, a noszącym tytuł „Szpitale i lekarze gminni”.

Zaczyna autor od wezwania pod adresem tak zwanych wówczas warstw wyższych: „Lu-

dzie oświaty, ludzie rozumiejący potrzeby społeczeństwa podają rękę swoim mniej oświeconym braciom, przynoszą pomoc skuteczną i ulgę w ciężkiej nieraz potrzebie i niedostatku”.

Daje następnie obraz strasznego stanu sanitarnego, odmalowuje typowy przebieg choroby chłopca, który wychodzi z niej zwycięsko tylko wtedy, jeśli jego silny organizm przezwycięży i samą chorobą i stosowane przeciw niej lekarstwa. Proponuje też, aby każda gmina opodatkowała się stałą opłatą na utrzymanie lekarza i pomocnika aptekarskiego oraz zorganizowanie szpitala jednego na kilka gmin. Przy sposobności dodaje uwagę, że lekarz taki powinien zrezygnować z marzenia o powozie i wykwintnym apartamencie, pojąć natomiast swoje zadanie, jako ciężką służbę społeczną.

Za największą przeszkodę w zrealizowaniu tego projektu uważa autor faktyczną ciemnotę chłopca oraz przekonanie inteligencji o tym, że z takim ciemnym chłopem, jak obecny, nic zrobić nie można. Przeciwno temu próbuje się autor bronić w ten sposób, że chociaż trudno zaprzeczyć, że naszą ludność wiejską należy najpierw wychować do tego, by odczuwała potrzebę lekarza, a potem mu go dawać, to jednak uważa, że wprowadzenie takiej inowacji może sprawę uświadomienia ludu bardzo przyspieszyć.

Kończy wezwaniem, aby opiekę nad zdrowiem ludu nie pozostawiać w rękach obokurantów i szarlatanów, lecz dać mu lekarza, który będzie stróżem jego zdrowia, tak jak proboszcz jest stróżem jego moralności. Ciekawą pozycją jest także artykuł nieznanego autora „Karczma i oświata ludowa” (1872, nr. 10). Zaczyna on od przeciwstawienia się potocznym sądom moralistów i kaznodziej, potępiających karczmę jako miejsce zebrań ludowych. Nie potępiają, ale uszlachetniają, woła do tych, którzy ludowi chcą poświęcić swój czas i troskę. Karczma bowiem jest jedynym miejscem zebrań towarzyskich i jedynym terenem kulturalnych zainteresowań chłopca. Jest potrzebniejsza niż kawiarnia w mieście. Inteligencja i ziemiaństwo powinno dążyć do przekształcenia jej w doskonały dom ludowy.

Tu następuje marzenie o czystym, schludnym otoczeniu zielenią domu, zebrań gminnych, gdzie młodzież spędza czas na grach i zawodach sportowych, rozwijających ciało i uszlachetniających ducha, ktoś starszy i doświadczniejszy czyta na głos utwór z pisma ludowego lub książki. „A miejscowy nauczyciel lub ktoś inny z ludzi inteligentnych tłumaczy jakiś fenomen natury lub objaśnia wiadomości przeczytane. Następnie idą koleja tańce, a starsi gospodarze rozprawiają o gospodarstwie, w czym doświadczony rzadca podsuwa im jakiś kwiatek. Czarki piwa lub miodu krąży umiarkowanie, lud się posila, bawi, a wieczorem trzeźwy i zadowolony wraca do domowej zagrody”.

Ten patriarchalny obrazek umoralnionego, ku oświacie prowadzonego ludu uważa autor za niezmiernie łatwy do wprowadzenia w życie, a co najważniejsze — jego zdaniem — kosztem drobnych tylko ofiar ze strony posiadacza ziemskiego. Z naszego zaś punktu widzenia nie tylko tych ofiar nie wymaga ale nawet godzi się doskonale z jego interesem.

Oto każdy właściciel ziemski wydzierżawiając karczmę nakłada na synkarkę obowiązek prenumerowania i wypożyczania pism odpowiednich dla chłopca. O tym, jakie to mają być książki, co dać można do ręki niedoświadczonemu ludowi, zdecydować właściciel. On dbać będzie, aby dostarczać chłopu przede wszystkim wiedzy praktycznej, wiedzy nadającej się do natychmiastowego zastosowania w praktyce, sama bowiem wiedza jest dla niego nieprzydatna.

To połączenie propinacji z oświatą, sprzedaż wódki z dostarczaniem ludowi odpowiednio dla niego spreparowanej wiedzy wydaje się autorowi najlepszą i niezawodną drogą do zwalczania przysłowiowej oświaty ludowej. „Chłop nasz bowiem, mimo swej uporeczywej niechęci dla nowych pojęć i obyczajów, mimo braku wszelkiej nawet oświaty, wszystkie jednak rozumowania nasze chwycił zawsze z chęcią — przywabia je, kombinuje w swym chłopskim, z natury przenikliwym, umyśle. Umiejąc zaś czytać, każda podana mu książka chętnie skwapliwie nawet bierze do ręki. Czyż codzienne przykłady najwyraźniej nam tego nie mówią? Niech przeto tylko każda z jednostek wykształconych, a żyjących pomiędzy ludem, z głęboką wiarą w zadość i doniosłość celu z całą łagodną serdecznością, z pełną miłością dla tegoż ludu, stara się wytrwale o rozpoznawanie pomiędzy nim społecznego i umysłowego wykształcenia, niech szerzenie w ten sposób oświaty postawi sobie za jedno z najważniejszych zadań działalności społecznej, a wtedy nikt się skarżyć nie będzie na lenistwo i obojętność naszego ludu, nikt nie zaprzeczy mu jego gorących pragnień oświaty, nikt wreszcie rzuconej tu myśli, nie nazwie czczą, marzycielską utopią — lecz owszem, w trafnym zdrowo pojętym zastosowaniu onej — skutecznym prosto do celu prowadzącym środkiem”.

Ciekawsz i bogatszy program oświaty ludowej przynosi bezimienna recenzja „Zorzy”, pisma dla ludu (1871, nr. 26). Autor rozpoczyna od dowcipu, że przekonanie o analfabetyzmie naszego ludu spowodowało zupeł-

nie beztróską wydawców pisma o jego treści: „Obojętne, czym zadrukujemy papier i tak pismo nasze mają w rękach analfabeci”. Po nieważ jednak pismo to może przypadkiem trafić na człowieka umiejącego czytać, należy się o nie zatroszczyć.

I tu autor wysuwa program pisma dla ludu: przede wszystkim nie może ono być redagowane przez ludzi osiadłych w Warszawie. Człowiek, który widuje „początki” kmiotków na targu lub na wycieczce do Czerniakowa, nie ma pojęcia o sprawach i interesach ludu. Doświadczenie dowodzi, że najlepiej redagowane pisma wydawali w Prusach osiadli na wsi nauczyciele.

Następnie pismo nie może służyć propagandzie religijnej, nie może być miejscem proroków, niech kler katolicki załatwia swoje sprawy w kościele. Pismo powinno szerzyć światopogląd świecki, poruszając sprawy z zakresu etyki, ma podawać „prawdę, bronią przez zdrową logikę”.

Sprzeciwia się stanowczo preparowaniu umoralniających powieści, gdzie dobry człowiek jest nagrodzony, a zły zła powieść, żąda dla ludu literatury pełnowartościowej np. radzi przedrukowywać powieści George Sand (z okresu późniejszego, gdy zbliżyła się do saint-simonistów i pisała powieści w duchu utopijnego socjalizmu), po wprowadzeniu odpowiednich skrótów o charakterze technicznym.

W dziale oświatowym żąda popularyzacji pierwszych wiadomości z zakresu „małej uprawy” rolnej, technologii hodowli zwierząt oraz potrzebnych dla nauczycieli wiejskich zdobyczy z zakresu nauczania elementarnego.

Za rzecz pożądaną i nadającą pismu użyteczny, sensowny charakter uważa wciągnięcie chłopów, a przynajmniej średniej inteligencji wiejskiej do współpracy w piśmie.

Oto są skromne a jednak ciekawe zadatki postawienia sprawy włościańskiej przez pozytywistów w okresie nim został sformułowany pełny program pracy u podstaw. Dopiero rok 1873 bowiem przyniesie jego sformułowanie, które da Aleksander Świętochowski. Rzecz ciekawa jest, że cykl artykułów tej sprawie poświęconych (zacznie Świętochowski od w kołatajowskim tonie utrzymanego uzasadnienia praw chłopów do wolności. Od dziesięciu prawie lat uwłaszczenie było faktem dokonany, a mimo to istniała potrzeba dowodzenia, że uwłaszczenie nie było aktem krzywdy, wyrządzonej ziemiaństwu, lecz aktem sprawiedliwości. „Plantatorzy zawsze przeklinać będą filantropię za to, że im Murzynów wydławiła, podobnie nie jeden panek wypasiony niewolnictwem chłopca złorzeczy losowi, który mu go, to nieoszacowane bydlę robocze, w wolnego człowieka zamienił”.

Ala równocześnie stwierdza autor, że chłop tak samo jak ziemianin nie był przygotowany do pełnego wykorzystania dobrodziejstwa reformy. Wójt nie zdawał sobie sprawy ze swojej władzy, nie domyślał się nawet jej rozległości. On, wszechwładny kierownik gminy, zdejmował pokornie czapkę przed zwykłym policjantem lub wysłuchiwał tużurkowego interesanta.

Chłop nie dorósł do wyzwania możliwości, które przed nim stanęły otworem. Nie dorósł, bo był ofiarą wiekowego ucisku, bo był zepchnięty do poziomu roboczego bydlęcia. Wina za to i odpowiedzialność spada na obywateli ziemskich. Chłop to nie uciążliwy sąsiad, ciemny i złośliwy, lecz ofiara ich przemocy. Obowiązkiem ich jest więc odrobienie wiekowych krzywd, nawiązanie nici serdecznego porozumienia z tymi, którzy go się tylko bać i nienawidzić nauczyli.

„Dziś już nie wolno stanąć do walki z losem w zbroi przesady. Dawniej mógł pan wyrwy i trzęsawiska życia zawałać i wyrównać chłopskim ciałem, ażeby rozleniwiona i czuła jego stopa po gładkiej posuwala się drodze, dziś musi on stopę tę przyzwyczaić do wszelkich potknięć i wybojów, a z owym ciałem iść ręką w rękę”.



„Drogi do kultury”

rys. F. Kostrzewski

¹⁾ Zarys najnowszej literatury polskiej str. 14.

²⁾ W r. 1866 zaczął wychodzić „Przegląd Tygodniowy”, pod redakcją Adama Wiślickiego, organ młodych postępowców, „pozytywistów”, który w popowstaniowym ruchu umysłowym odegrał ważną rolę. Stanął on na czele „młodej prasy”, która wystąpiła do walki ze „starą, zachowawczą, a początki wstępną prasą, o nowe hasła i ideały.”

Adam Wiślicki upamiętnił się jako założyciel „Przeglądu Tygodniowego”, który wydawał i redagował od r. 1866 do r. 1905...

Mieczysław Grad

Walka klasowa na wsi rzeszowskiej (II)

Wieś W. na gospodarczo-społecznej mapie świata^{*)}

Obraz wsi W. różni się jaskrawo od obrazu wsi wielkopolskiej i pomorskiej, a tym bardziej od obrazu typowej wsi zachodnio-europejskiej, gdzie zarówno poziom cywilizacyjny i różnicowanie klasowe przedstawiają się zgoda inaczej. Stefan Czarnowski pisze o pewnej wsi bretońskiej (Francja), „w której wszyscy gospodarze zajmują się wyłącznie produkcją młodych ziemniaków, cebuli i truskawek na sprzedaż do Anglii; chłopci to z nazwy i z mniemania własnego; niemniej bliżsi są nastawieniem gospodarczym, rodzajem i techniką pracy, całym sposobem życia przedsiębiorcy ogrodniczemu, niż chłopom w naszym rozumieniu potocznym¹⁾”. W Europie zachodniej wieś pod wielu względami podobną do rzeszowskiej W. spotkać można obecnie chyba tylko w południowych Włoszech i w faszystowskiej Hiszpanii, gdzie do tej pory trwają stosunki półfeudalne, a w związku z tym niesłychane zaoferowanie gospodarze i społeczne. Ale bo też wieś bretońska czy choćby nawet poznańska ukształtowała odmienną historię gospodarczo - społeczną.

Francja to kraj wczesnego startu i pełnego rozwoju kapitalistycznego. Kiedy Polska wchodziła w ponury okres rozbiorów, które kraj podzieliły na trzy części włączając je do różnych, na różnym szczeblu rozwoju znajdujących się organizmów gospodarczych, francuska burżuazja śpiewała właśnie swą „odę do młodości”, i rozwijając feudalne zapory torowała drogę rozwojowi przemysłu. Gwałtowny proces industrializacji kraju wyludnił wieś, której mieszkańcy powiększali szeregi przemysłowego proletariatu. Kto został na wsi, ten przeistaczał się stopniowo w kapitalistycznego przedsiębiorcę, lub spadał do rządu proletariatu rolnego, ale przeważnie szedł do miasta, do przemysłu, który potrzebował jego rąk roboczych. Ten proces spowodował na wsi francuskiej wyraźną polaryzację klasową; towarzyszyła mu także urbanizacja wsi, dla której urządzenia techniczne produkował właśnie rozwijający się przemysł.

Silną robotniczą we francuskim rolnictwie stanowić musieli w stopniu coraz większym sezonowi robotnicy przybywający tu w poszukiwaniu pracy z krajów gospodarczo zaoferowanych. „W związku z tą emigracją bezrolnych i małorolnych do miast oraz kosztownością sezonowców wytwarzać się zaczęły we Francji stosunki podobne do kolonialnych: wprowadzone zostały półniewolnictwo robotników rolnych cudzoziemskich (Polaków na północny Francji, Włochów i Hiszpanów na południu) w tej postaci, że robotnika zakontraktowuje się na okres przynajmniej roczny w jego kraju, przy czym z płacy straca mu się koszty podróży, w razie zaś porzucenia pracy sęga karnie; bardzo wielu naszych rodaków do stało się do więzienia francuskiego za to jedynie, że porzucili pracę u źle traktującego ich chłopca pracodawcy. Niezłym Hindusi lub Malajowie prowadzeni do pracy na plantacjach trzciny cukrowej w Australii lub na Wyspach Antylskich²⁾”. Wyzyskiwani na sposób kolonialny rodacy to właśnie między innymi emigranci z W., zmuszeni szukać pracy u francuskich kapitalistów rolnych, u pruskich junkrów oraz w podziemiach amerykańskich kopalni węgla.

W tym bowiem czasie w kraju ich działy się rzeczy, które w rezultacie doprowadziły do tego, że oto wieś W., jak zresztą setki innych, jeszcze dziś, w roku 1948 przedstawia tak potworny obraz zaoferania i nędzy. Mianowicie „królestwo Galicji i Lodomerii” w ramach austro - węgierskiej c.k. monarchii zostało poddane istic kolonialnemu wyzyskowi, w którym uczestniczyły trzy główne siły: feudalny reżim wiedeński, miejscowe „rodzime” obszarnictwo oraz obcy kapitał, w szczególności zaś niemiecki.

W istocie Galicja była nawet nie półkolonią, ale po prostu kolonią, za taką bowiem uważana była przez Wiedeń. „Przez długie po rozbiorach lata traktowana ona była jako nabytek przejściowy, obiekt dobry na zapłatę za inne, bardziej dla całości państwa cenne krainy (za Napoleona myślnie np. o oddaniu Galicji w Polsce w zamian za Ilirję). Z tym wiązała się niechęć do wszelkich wkładów materialnych w gospodarkę galicyjską. Galicja miała płacić jak najwięcej podatków i dostarczać jak najwięcej rekrutów. Tego rodzaju rabunkowa gospodarka, dążąca do wyciągnięcia z kraju największych korzyści przy najmniejszych wkładach, doprowadziła kraj ten od poziomu rzadkiego w ówczesnych stosunkach europejskich³⁾. Wszelkie projekty uprzemysłowienia kraju torpedowane były przez idiotyczną politykę gospodarczą miejscowego ziemiaństwa, które w swej krótkowzroczności obawiało się wzrostu bezpośrednich podatków oraz odpływu do przemysłu tanich rąk roboczych ze wsi, świadomie przez obszarników utrzymywanej w ciemności i nędzy. Wreszcie obcy kapitał, którego penetrację ułatwiała polityka celna powiązanego z nim Wiednia, nie dopuszczał do powstawania w Galicji miejscowego przemysłu, ograniczając się do eksploatacji surowca (głównie naf-

ty i drzewa) przerabianego następnie w zagranicznych fabrykach. Surowca materialnego no i oczywiście ludzkiego. Tak więc „w ostatecznym rezultacie z omawianego okresu (1864—1914), przyp. mój) wyszła Galicja jako kraj największej biedy chłopskiej (największe rozdrobnienie i przeludnienie gospodarstw chłopskich), kraj pozbawiony niemal przemysłu, kraj średniowiecznie jednostronnych społecznych, gospodarczych i politycznych przywilejów ziemiaństwa, wreszcie kraj będący obiektem wyzysku kolonialnymi metodami uprawianego przez kapitał obcy, przeważnie niemiecki⁴⁾”.

Sytuacja gospodarczo - społeczna Galicji (a w niej wsi W.) na przełomie XIX i XX wieku wiąże się różnorodnymi niemi z historią nowoczesnego kapitalizmu światowego. Stanowi ona wytwór toczącej się w łonie kapitalizmu walki klas w skali krajowej i międzynarodowej. Kiedy na przykład w roku 1865 rozpoczęła się na obszarach austro-węgierskiej monarchii era wolnej konkurencji, rynek galicyjski opanowany został szybko przez produkty pobliskiego, prężnego przemysłu niemieckiego. W ten sposób zahamowany został skutecznie rozwój i tak rachitycznego przemysłu miejscowego. Cóż ten fakt oznacza w kategoriach walki klasowej? — Oznacza on nowe ukształtowanie wewnętrznej klasy wyzyskującej galicyjski lud. Mianowicie w wyniku rywalizacji pomiędzy różnymi odłami

klasy wyzyskiwaczy zwyciężyła ta najsilniejsza przemysłowa burżuazja niemiecka. Ale miejscowi feudalowie bynajmniej nie ustąpili z placu. Ostrze ich wyzysku skierowało się w jedynie możliwym kierunku, przeciwko wielotysięcznym rzeszom małorolnej i bezrolnej wsi. Patronował temu procesowi i uczestniczył w nim na swój sposób feudalno-kapitalistyczny ośrodek wiedeński, zamykający obieg klasowego ucisku wobec galicyjskiego ludu. Przed owym ludem, stanowiącym przeciwstawny obóz walki klasowej, kler rozciągał miraż nagrody niebieskiej za nędzę do- czesnego żywota a ludomaska inteligencja wsączała weń mistycyzm utrudniający realne poznanie źródeł nędzy i skutecznych sposobów walki z nią, co w rezultacie działało na rzecz wyzyskiwaczy i jeszcze bardziej pograżało wyzyskiwanych. Owemu ludowi kazano umierać na polach bitew Wielkiej Wojny 1914—1918. Oszukiwano go, że to za ojczyznę. W rzeczywistości ginał on w interesie straszliwie go wyzyskującego austroniemieckiego imperializmu.

W świetle powyższych uwag widoczne stają się również współzależności i powiązania pomiędzy np. sytuacją gospodarczo-społeczną na terenie wsi W. w początkach XX wieku a współczesną sytuacją na wsi francuskiej czy pruskiej. Uprzemysłowienie i urbanizacja wsi francuskiej czy niemieckiej uwarunkowane były odpowiednio pomyślnym rozwojem kapitalistycznego przemysłu tych krajów. Ten zaś z kolei uwarunkowany był posiadaniem dostatecznej bazy surowcowej, eksportowej i roboczej (oraz oczywiście żywnościowej). Otoż

baza taka stanowiły przede wszystkim kolonie i półkolonie. Widzieliśmy już jak celowo i świadomie Galicja zatrzymywana była przez swych gospodarczych i politycznych władców w narzuconych jej kolonialnych funkcjach. Takie „Indie w środku Europy” potrzebne były zachodnim metropoliom kapitalizmu. To też zachodnio - europejska wieś potrzebowała dla swego rozwoju takiej właśnie kolonialnej, galicyjskiej wsi W., z której by płynął strumień rak roboczych. Jeżeli zaś wieś galicyjska wskutek niskiego poziomu życiowego nie mogła stanowić odnowy w rynku zbytu, którego przemysł zachodni potrzebował, świadczy to tylko o wewnętrznych sprzecznościach kapitalizmu. Wobec tego galicyjskie przysłówie „czegoś biedny, boś głupi, i czegoś głupi, boś biedny” nie jest sprawiedliwe. Nędza wsi galicyjskiej to bowiem rezultat nie nieudolności chłopskiej, moralistycznie w dodatku pojmuwanej, ale rezultat obiektywnych praw rozwoju gospodarczo-społecznego.

A czy w gospodarczo - społecznej sytuacji wsi rzeszowskiej zaszyły jakieś zasadnicze zmiany w okresie międzywojennym? Czy powrót ziem b. Galicji do odrodzonej w r. 1918 Polski spowodował jakąś istotną zmianę na lepsze? Nie. W dalszym ciągu nie było przemysłu lub prawie nie było. W dalszym więc ciągu wzrastało przeludnienie wsi i rozdrabnianie gospodarstw. Zwiększała się w wyniku amerykańskich ograniczeń migracyjnych zahamowany został exodus za ocean. Sanacyjne zaś rządy nie tylko nie starały się o poprawę złego losu wsi, lecz nawet świadomie go pogłębiały. Jakież bowiem miała praktyczne skutki taka np. jędrzejewiczowska reforma szkolna, która utrudniała dostęp młodzieży chłopskiej do szkół średnich?

Zarówno przed wojną 1939—1944 jak i w czasie wojny właściciel wymienionego już w rozdziale I folwarku hrabia Potocki przejeżdżał czasem obok wsi W. w otoczeniu swej „swity”, poprzedzanej przez sforę psów. Miał bowiem stary, zapewne jeszcze średniowieczny zwyczaj podróżyć od jednej rezydencji do drugiej w okresach swego pobytu w kraju, bo niekiedy wyjeżdżał na polowanie lwów do Afryki. Ażby zaś było wiadomo, że zbliża się właśnie pan hrabia, słudzy jego odpowiednio przygrywali na trabkach. Tymczasem na folwarku w ciężkim trudzie pracowali chłopci a trzeba się było zwiać, bo obok stał karbowy z bykowcem. Jakież mógł nie być robotników karbowy hrabiego Potockiego, skoro sam pan hrabia zbił pewnego razu chłopca własnoręcznie do nieprzytomności, za co otrzymał w ówczesnym sądzie tydzień aresztu z zawieszeniem? W tym samym czasie kler wyklinał z ambony miejscowych wiclarzy, którzy zresztą bałamucili się tzw. etyką chrześcijańską, i ogłupiał masy chłopskie (dodatkowo) za pomocą tzw. „misji”, w których celowali zwłaszcza Ojcowie Redemptoryści.

Pod tym ciśnieniem nieubłaganych praw kapitalistycznego świata, które doprowadziły do cywilizacyjnej i gospodarczo-społecznej sytuacji wsi W., naszkicowanej w rozdziale I, rozwijał się na terenie wsi W. własny kapitalistyczny mikrokosmos. To właśnie wewnętrzne ukształtowanie wsi W. jest naszym zasadniczym tematem.

We wrześniu 1948 r. uciałem sobie pogawędkę z jednym z najzamożniejszych we wsi W. gospodarzy. Rozmawiamy o nowościach, a zwłaszcza o świeżo opublikowanym referacie Ministra Mince o polityce PPR na wsi. Oto jego, wprowadzie nie dosłowna, ale rzeczowo chyba wiernie odtworzona wypowiedź:

— No cóż. W tej chwili na wsi nie jest jeszcze tak źle. Ludzie się pomalu wygrzebuja z wojennych zniszczeń (kilka zagrod spalił wycofujący się Niemcy, poza tym okupacja niemiecka spowodowała spadek pogłowia zwierzęcego, wymagający kilku lat do nadrobienia). Coraz sprawniej zaczyna wszystko funkcjonować, bardzo pożyteczne zmiany zachodzą, zwłaszcza w szkolnictwie. Można by wytrzymać, gdyby nie ta „walka klasowa”. To jest całe cholerstwo. Na początku to nas wszystkich rzucali na obszarników, żeby ich rozparcelować. Skończyli się obszarnicy, to luzia na tych najbogatszych we wsi, bo to kula i kapitaliści. Zniszcza i tych, to wtedy rzucali tych największych działów na tych, co choć trochę mają. I tak do skutku, aż nas wszystkich puszcza z torbami. Nie pozwolą ludziom po wojnie odetchnąć i spokojnie pracować, żeby pracą dojść do czegoś, tylko ich drażnią ta „walka klasowa”. Czy ten, co żyje mniej więcej jak człowiek, bo nie próżnował, lecz przez całe życie harował, ma oddać swój dobytek temu, co się leni, co przepił swój majątek, albo nie umie gospodarować? Mówi się o wyzysku. Co za wyzysk? Ja na przykład mam parobka. Ale czy ja go wyzyskuje? Przecież on sam do mnie przyszedł, bo inaczej by nie miał co jeść. Daje mu za jego pracę tyle, ileśmy się zgodzili. Za to, co u mnie zapracował, ubrał się i jest zadowolony. I co za wyzysk, co za walka klasowa? W zgodzie to cała wieś szybko dzwignęłaby się, jeden drugiemu by pomógł i jakoś szłoby się na przód. A tak to wiecznie jeno mamy się zrec między sobą. Nienawistną niczego się nie zbuduje!

Właśnie przechodzimy do systematycznej i szczegółowej odpowiedzi na pytanie: „co za wyzysk i co za walka klasowa” narażając przy tym na szwank chrześcijańskie cnoty czcigodnego przedmówcy.

(C. d. n.)

*) Kula op. cit.

Anna Kamińska

W I E R S Z E STAROŚĆ

Daleki turkot kół. Przerastają ciernie przez krokwie dachu, a deszcz kołysze liśćmi.

Wtedy w domu samotnym staruszka tłucze o ściany sękami palców. Uśnie jednak znużona kiedy deszczu nowa fala ostygnie i laska w mgłę oddechu w storczyk zakwita.

Co wiosnę te same deszcze padają. W deszczach spływa świat ten sam, kiedy bosa stopy dziewczynki czują chłód kropel, mokry przez trawę piasek. Obudzona w szmery wstaje nowych przemijań.

Gdy znowu usnie ptakom okno otwiera. Wlatują z deszczem. One to strzepują z piórek błękit lat pogodnych, który nie jest śmiertelny, a także płatki wiśni, które każdy utrwała maj.

Innych wzruszeń nie pragnęliśmy bowiem nigdy. Czy to w czarnych strużkach ksiąg, czy pod gałęzmi obramującymi światło ócz sączących czułość, czy nawet w strumieniu godzin, które nigdy bez płomienia wiedzy nie dają ziarna gorczy, czy w snach, gdy rozumiemy, że życiem oblok oddechu nie jest.

Budząc się znowu idzie, znowu towarzyszy jej cień. Krople nie suną gałęzmi, już tylko wiszą na końcach pąków — srebrne jaja rytmów słowicznych

A gdy usypia — lzy płyną teraz policzkami róz i lekko otwiera się blask po deszczu.

DROGA PRZEBISKUPIE

Którędy droga? Jesienią, jesienią, między oddechów dymnych ról i rżyska, gdzie z mgły kogucie jarzębin grzebień pieją i rzeka leniwa połyska.

A dalej? Poznasz drogę po badyłach rudych kartoflisk, gdzie w bródzie zaplone rzucony ziemniak, po gęstych profilach dachów zbudzonych ku zachodniej stronie.

Dążąc uparcie — lasek zdruzgotany przez czarne burze wron miniesz bez słowa, nagi, przez dzieci z kory rozebrany i gniazda wronie kołyszący w głowach.

Cmentarz przed szkołą to będzie jedyna wyspa zieleni jakby płomień zimy. I pierwsze twarze piwnic z żółtej gliny. Dokąd i po co tak szlakiem tym dziwnym?

*) Wiersze z tomu poezji, który się ukaze nakładem „Książki”.

*) Część I — Obraz wsi W. — „Wieś” Nr 43.

1) Stefan Czarnowski — „Podłoże ruchu chłopskiego” w tomie — Społeczeństwo - kultura.

2) Czarnowski op. cit.

3) Witold Kula — Historia gospodarza Polaki w dobie powojennej (1864—1918).

Lili Szwegrub

„OSTROWIANKA”

(Spółdzielnia Parcel.-Osadn. Platyny, pow. Ostróda, woj. olsztyńskie)



fot. J. Chlusi

NIE MUSIELI A ZROBILI

W powiecie Ostródzkim, 7 km od stacji kolejowej Olsztynek, 2 km od szosy Olsztyn — Ostród (12 km od gminy i 26 od miasta powiatowego) nad jeziorem, w pobliżu lasu, leży pomieście majątek w Platynie o powierzchni 542 ha.

Podniszeczony, jednopiętrowy dwór o 15 pokojach, budynki folwarczne jedno-, dwu i trzypiętrowe, z szopami na drzewo, drób i z pomieszczeniem na własną „świnie”, budynki gospodarcze i gorzelnia z kilku mieszkalnymi izbami.

Majątek ten został z początku 46 r. wytypowany na Spółdzielnię Parcelacyjno-Osadniczą. Statut tej spółdzielni (z dnia 31.III.46) mówi o wspólnej gospodarce (na okres najwyżej 5 lat) — „celem ułatwienia swym członkom jak najszybszego utworzenia samodzielnych gospodarstw rolnych z obszaru parcelacyjnego, przeznaczonego przez władze osiedleńcze do zagospodarowania za pośrednictwem spółdzielni”. (§ 2) „Członkiem spółdzielni parcelacyjno — osadniczej może być każdy kto: a) uzyska od władz osiedleńczych akt nadania gospodarstwa rolnego, ogrodniczego lub działki pracowniczej na terenie parcelowanym za pośrednictwem spółdzielni, b) zadeklaruje przystąpienie do niej, poddając się przepisom niniejszego statutu” (§ 7).

W lipcu 1947 r. przyjechało do Platyn siedmiu młodych chłopów spod Ostrowa Mazowieckiego. Szukali gospodarstw dla siebie, swoich krewnych i znajomych. Gospodarstw indywidualnych w okolicy już nie było. A majątki objęte statutem Spółdzielni Parcelacyjno-Osadniczej na ogół nie nęciły. Nie chcieli ich ani osadnicy, ani przesiedleńcy, ani nawet autochtoni. Nie chcieli, bo nie chcieli mieszkać razem w jednym budynku. Balli się wspólnej gospodarki, nie wierzyli sobie ani statutowi. Nie wierzyli, że pracując wspólnie będą pracować uczciwie, że będą mieli dochody. Spotkałam latem 47 roku Spółdzielnię Parc. Osad., które były nimi tylko na papierku. Chłopi nie mogą dostać indywidualnych gospodarstw — brali majątek i od razu go parcelowali, nie korzystając nawet z kredytów inwestycyjnych przysługujących spółdzielniom.

Bohaterzy mojego opowiadania, siedmiu młodych gospodarzy (1—3, 5 ha) z powiatu Ostrow Mazowiecki, nie przestawali się jednak wspólnej gospodarki. Obejrżeli majątek i zdecydowali się, że warto go objąć. Ziemi było 1300. Pomieszczeń mieszkalnych (razem ze wsiem) na 30 rodzin. Budynki gospodarcze w dobrym stanie. Obsiane 7 ha ziemi: pszenica jara, jęczmień, groch, ziemniaki, lubin, mieszanka. Przechowywać można. Było trochę maszyn: motor benzynowy, 2 młockarnie, elewator, kosiarka, siewnik, dołownik, grabiarka, sieczkarnia, srotownik, kilka bron żelaznych, plugów pojedynczych i dwuskibowych, waga do żywa, 4 wozy, 3 pary sań roboczych. Wprawdzie wszystko to wymagało remontu — ale byłoby czym zaczynać pracę na wiosnę a nawet na jesień. Tym bardziej, że Samopomoc Chłopska obiecała im jeszcze przed wiosną konie. Krowy i świnie niektórzy mieli, inni postanowili kupić, likwidując całkowicie czy częściowo swoje gospodarstwa w powiecie ostrowskim.

Wrócili do domów. Opowiedzieli sąsiadom co widzieli i jakie są warunki dostania ziemi w olsztyńskim. Jeszcze sześć rodzin wyraziło chęć wyjazdu do Platyn. Było ich teraz już 13: 7 małorolnych (3—5 ha), 2 średniorolne (13 ha) i 4 bezrolnych (3 robotników rolnych i 1 leśnik i szklarz razem).

Około 15 sierpnia 47 r. byli już w Platynie, przywożąc dobytek osobisty (meble, naczynia, ubranie), 2 konie (średniorolni), 7 krow i 2 jałówki (średnio i małorolni) 14 świnia i drób (średnio i małorolni).

Na walnym zgromadzeniu (18 sierpnia 47 r.) wybrano zarząd spółdzielni, złożony z prezesa (bezrolny), jego zastępcy (małorolny) i skarbnika (średniorolny i rzemieślnik z zawodu). Wybrano Radę Nadzorczą złożoną z trzech członków i ich trzech zastępców i „gospodarza”, którego zadaniem miało być koordynowanie wszystkich prac rolnych w spółdzielni. Co zastanawia — nie dokonano nawet przybliżonego rozplanowania indywidualnych gospodarstw (co wleściwie nakazywał § 3, pkt. 1 statutu). Zgromadzenie pozostawiło całą ziemię w zarządzie i użytkowaniu spółdzielni, przyjmując formę produkcji zespołowej, której możemy dzisiaj, według podziału ministra Minca (referat wygłoszony na Plenum KC PPR dn. 3 września 1948 r.) określić jako

formę przejściową między zjednoczeniem wytwórczym a związkiem wytwórczym. Plenum naturalnie nie wybierało świadomie formy spółdzielczości produkcyjnej. Jeśli dzisiaj można o Platynach mówić, jako o zespołowej gospodarce na drodze do najwyższej formy spółdzielczości produkcyjnej — to na podstawie nagromadzonych i narosłych faktów, a nie świadomych założeń.

Zespół „Ostrowianka” (taką nazwę przyjęły Platyny) podjął wspólną pracę, bo uznał ją za jedyne słuszną na nowym terenie o dużym obszarze 70% leżącym odległym, przy skupionych budynkach mieszkalnych i gospodarczych, braku narzędzi i inwentarza.

Dlaczego uznał pracę zespołową za słuszną, dlaczego ją wybrał, a nie poszukał śladem innych osadników indywidualnych gospodarstw? Dlaczego każda z rodzin nie wzięła działki ziemi, nie troszcząc się o całość uprawy majątku?!

Nikt ich do pracy zespołowej nie zmuszał. Statut Spółdz. Parc. Osadn. jest tak luźny, że nie on tu wpłynął na zjednoczenie pracy przybyszów. W sąsiedniej wsi Warglewo — autochtoni, przesiedleńcy i osadnicy siedzą na indywidualnych gospodarstwach. Wszelkie władze daleko. Najbliższe, gminne w odległości 12 km. Zresztą władze nie interesowały się specjalnie wewnętrzną organizacją spółdzielni parc.-osadniczej, nie interesowały się też zespołem „Ostrowianka”.

Jeśli Platyny utrzymały się jako spółdzielnia stało się to dzięki ludziom, którzy ją organizowali. Ludzie ci wyszli daleko poza statut, reformując go według własnych potrzeb, własnych nabywanych i narastających doświadczeń.

Przyjęto zasadę: członkiem spółdzielni jest przedstawiciel poszczególniej rodziny. Każdego członka spółdzielni obowiązują jednakowa ilość robotników — dni pracy w roku. Członek otrzymuje: mieszkanie, opał, ogródek przy mieszkaniu, 0,25 ha ziemi pod własne kartofle i w naturze rocznie 20 m zboża (pszenica, żyto, jęczmień, groch) i 60 m kartofli. Wolno mu trzymać 2 własne krowy, a trochę chlewną owcę, drób — bez specjalnych ograniczeń. Oparto się tutaj na normach deputowych (o ile się nie myli obowiązujących w majątkach państwowych i na resztówkach). Jeżeli poza członkiem spółdzielni pracuje ktoś z jego rodziny, wtedy za dzień roboczy płaci się zatrudnionemu 300—400 zł. Wszelkie nadwyżki zdecydowano obracać na potrzeby ogólne spółdzielni, mające na celu podniesienie produkcji: zakup nawozów sztucznych, maszyn i inwentarza żywego. Rozpoczęto pracę: remonty domów, jesienne zasiewy. We wrześniu 47 r. przyjechała spod Ostrowa jeszcze jedna rodzina jako członek spółdzielni, w październiku pięć rodzin, w lutym 48 r. — jedna, w kwietniu — cztery (małorolne i dwie rzemieślnicze).

Wiosną stanęło do pracy już 25 rodzin. Wyremontowano potrzebne maszyny. W międzyczasie „Ostrowianka” uzyskała od Samopomocy Chłopskiej 16 koni, placąc tylko koszt transportu. Konie pozostały wspólną własnością. Ze srożeń nadwyżki zboża i kartofli kupiono 16 uprzęży, 5 plugów pojedynczych, kultywator, kosiarkę. Wiosną obsiano 238 ha (na 431 ha ziemi ornej, część już jesienią, więcej się nie dało — nie było czym).

Zniwa wypadły dobrze. Kupiono żniwiarkę — wiazakę, kopaczkę. Na skryt dłuższy wzięto 2 traktory, 2 kosiarki, 2 grabiarki. Do młótki przystąpiono o tyle tylko — o ile potrzebne było zboże na deputaty i zakupy, ponieważ spółdzielnia objęła gorzelnię. Używała kredyty od Państwowego Monopoli Spirytusowego, i zajęta jest remontem gorzelni.

Sproszadono już gorzelnianego i zastępcę. Reszta pracowników dała spółdzielni. W tej chwili kilka osób pracuje przy remoncie. Gorzelnia ruszy 1 listopada br. Jej zdolność produkcyjna wynosi 100.000 hl. Z powodu zajęcia się gorzelnią spóźniono też kopanie i zasiewy. Za mało ludzi. W czerwcu 48 r. wprawdzie przyjechały jeszcze cztery rodziny ale w sierpniu, wrześniu wyjechało sześć. Dwie na indywidualne gospodarstwa do sąsiedniego powiatu, dwie wróciły z powrotem pod rodzinny Ostrow. Dwie (rzemieślnicze) ulokowały się w miastach (Olsztyn i Szczecin). Zostały 23 rodziny. Nie wiele ponad 100 osób. W tym prawie połowa dzieci, do 10, 12 lat. Kilkanaście młodzieży. Ludzi starych w Platynach nie ma. Przyjechali tu bowiem młode małżeństwa, siedzące do 47 r. u „ojców”, przyjechali ojcowie, jeszcze

w średnim wieku, którym już dzieci dorosły i pożeniły się. Trzeba je było „wyplacić” czy „podzielić”. By tego nie robić albo dzieci, albo rodzice przyjechali do „Ostrowianki”.

Prawo mówi, że osadnik przychodzący na Ziemię Odzyskaną winien zdać swoje gospodarstwo na rzecz Funduszu Ziemi. Ale „Ostrowiancy” dotychczasowe swoje gospodarstwa przekazali rodzinom i przyjeżdżając tu wszyscy formalnie byli bezrolnymi. Nie mieli co zdawać. Faktycznie jednak swoje udziały (część tych, co wyszła z gospodarstw) w tamtych gospodarstwach zachowali — zastrzeżili sobie powrót.

I dlatego dwie rodziny wróciły. Dlatego niejedną z Ostrowiaków często jeżdżą do rodzinnej wsi przypilnować zasiewu, żniw, zapłacić podatki — a tu opuszcza dni pracy. Dlatego dwie rodziny poszły jednak na indywidualne gospodarstwo, bo te ostatnie wydawały im się bardziej własne, a przez to i bardziej pożądane. „Ostrowiancy” nie oszukiwali prawa nawet nie starali się specjalnie go pomijać. To nie jest odosobniony wypadek. Mało który osadnik jest pod tym względem w porządku z prawem. Nie dziwny się Ostrowiakom.

„ŁACHY”

„Łachami” nazywają na Podlasiu bezrolnych i małorolnych. Powiatu Ostrow M. dotyka podlaski Węgrów i Sokołów. A tam były Koła Wiciowe i pokazowe wsie spółdzielcze. Te tradycje bardziej radykalne docierały do „dzikich” w Ostrowskim powiecie, do „łachów”. „Łachy”, którym syn „kożucha” (kułaka) wymawiał w r. 1937, że nie wykopał dołu na gnojówkę, nie zbiorą kamieni na chodnik na podwórzu, nie przekopią rowów, nie pobierają z pola chwastów, w 10 lat później również tych drobno-prywatnych zadań gospodarskich nie podjęli. Ale podjęli grubą robotę, w wymiarze, w jakim marzyli synowie kożuchów, tylko że w celach i treści wprost przeciwną. Nie wyznaczali parcel — spółdzielni! Prezesem — bezrolny. Przedstawiciel każdej rodziny pracuje bezpłatnie, wynagrodzenie w formie deputatów folwarcznych. Któż mógł być twórcą takiego pomysłu? Bezrolni. Co ich projekt nadto oznaczał? Przesunięcie punktu ciężkości na inwestycje w cały, spółdzielczy majątek. To nie bagatel. Motor benzynowy, 2 młockarnie, elewator, kosiarka, siewnik, dołownik, brony, plugi, 4 wozy — to zastano. W ciągu roku przybyło 16 koni, 16 uprzęży, 5 plugów, kultywator, 3 kosiarki, 2 traktory, 2 grabiarki, kredyty na gorzelnię, remont i uruchomienie. W ciągu roku wśród „łachów” uwyraźniły się różnice. Wydzielili się grupa bezrolnych — sześciu. Z nimi blisko jeszcze 3-ch małorolnych. Reszta małorolnych i sukmany (średnio-rolni) tworzą drugą grupę. Pierwsza grupa organizuje pracę gromady. Planuje rok spółdzielni. Stawia sobie, jako osobiste zadanie podniesienie dochodowości całego majątku. Druga grupa zgodziła się na deputaty, bo jeszcze nie sposób byłoby dać sobie tu radę samemu, a tradycyjną skłonność do „swojego” wyżywa tam, w gospodarstwach rodzinnych pod Ostrowem M. (zasiewy, żniwa, dokupna itp.). I właśnie ta „połowiczność” postawy, te powiązania z rodzinną wsią omieszają ją w żądaniu wyznaczenia parcel i oponowaniu przeciw pakowaniu wszystkich nadwyżek (po rozłożeniu deputatów) w inwestycje majątku-spółdzielni.

Toczą się równoległe dwa procesy. Dla rodzin mało i średniorolnych — „spółdzielnia nie ucieknie”. Jak wypracujemy deputaty — to wystarczy. To nasza płaca, a dorobić się można na własnej krowie, utucznej świnie, inwestowaniu pieniędzy zaoszczędzonych z deputatów, mleka, nierogacizny, drobiu w gospodarstwo pozostawione ojcu, synowi, czy też komuś z rodziny, tam pod Ostrowem. Wyjeżdżają dlatego często do Ostrowa na targi, lub pozostają w obejściu. Dziennik pracy członków jest jednym z dowodów tego podziału na dwie grupy. Przy jednym nazwisku — 320 przepracowanych dniówek, przy drugim — 252, przy trzecim — 181 i znowu — 280, 200 i tak dalej.

A uchwały mówią o równym wkładzie pracy i równych wynagrodzeniach. Wynagrodzenia są równe ale wkład pracy — nie.

Na niejednym zebraniu zastanawiano się nad tą sprawą. Jedno z plenum wysunęło projekt potrącania za każdy opuszczony dzień pracy 500 zł. Nie wszyscy się zgodzili. I sprawa pozostała niezakończona. A grupa byłych bezrolnych występowała ze słuszną koncepcją: ustalenia podziału zysków według pracy. Ale „Ostrowianka” nie stanęła jeszcze przed problemem podziału nadwyżek, bo do tej po-

ry wszystko szło w inwestycje, a ustalając stałe „deputaty”, wychodzono z założenia, że wszyscy członkowie będą bezwzględnie przestrzegali jednakowego wkładu pracy.

Założenie okazało się mylne.

Ciekawi mnie, jak „ostrowiancy” wybrną z tej trudności? Wydaje się tu konieczne zastosowanie jakiegoś obowiązującego minimum dni pracy i premiowania we wszystkim, co to minimum przekracza.

Tymi, którzy wypracowali bezpłatnie największą ilość dniówek są oczywiście bezrolni. Sześć rodzin byłych bezrolnych, związanych od lat mniej lub bardziej z ruchami socjalistycznymi — dzisiaj członków PPR docenia gospodarke zespołową jako wyżej postawioną i jedyne słuszną przy dzisiejszych zdobycach technicznych. Te sześć rodzin pracuje z oddaniem, nie licząc dni — ponad normę. Cieszy się każdą nową maszyną w spółdzielni, każdym nowym koniem. Marzy o pełnej szkole we wsi (teraz jest tylko czteroklasowa), o założeniu sklepów spółdzielczych, świetlicy, o mocnym kole partyjnym. Nie myśli o dorobku własnym — o własnej krowie i lepszym ubraniu w tej chwili. Najpierw — dobrze postawiona spółdzielnia. Nowe budynki, nowe mieszkania — „jak spółdzielnia będzie bogata i my będziemy lepiej żyli”. Wprawdzie doradnie są pokrzywdzeni. Wprawdzie produkcja całej spółdzielni na ich barkach przede wszystkim spoczywa, ale w ich uporze, cierpliwości i wysiłku nie ma utopijnego idealizmu.

Dla małorolnych i średniaków spółdzielnia kończy się na deputacie. Konkuruje oni niejako ze spółdzielnią w robocie poza deputatem, w robocie doradnie i bezpośrednio dla siebie, ale w ten sposób nie doceniają narastania porządku gospodarczego, który rozwija się po linii właśnie deputatów. Po tej linii działając, bezrolni powiększali na tyle uzbrojenie folwarku (park maszynowy), że orka jesienna i wiosenna obejmuje już teraz całą powierzchnię uprawną. Ostatnią ich wygraną — przełomową dla zespołu „Ostrowianki” — jest uruchomienie gorzelni. Dla drugiej grupy wkrótce stanie się jasne, że jednak dochód osobisty (rodziny) dawać będzie im głównie majątek, jako całość produkcyjną. Dotychczasowe zaś ich domowe gospodarstwo spadnie do pozycji dodatku. Jeszcze trochę, a zespół maszyn (własność społeczną), każde każdemu rachować na wynik pracy tego parku maszynowego. Jeszcze trochę, a gorzelnia da taki autorytet i sankcje materialne grupie bezrolnych społeczników, że wkład pracy „minimum” zostanie uregulowany pomyślnie.

Pomyślnie też zakończy się drażliwa sprawa krow.

Byli gospodarze średnio i małorolni przywieźli własne krowy. Krow jest 17. Pozostały własnością indywidualną, a żywią się paszą spółdzielni. Byli bezrolni krow nie mają. Jednakże ekwiwalentu za paszę dla bydła nie otrzymują. A ekwiwalent za paszę i premowanie pozwoliłby im wkrótce na kupienie krow. Bo to, że w najbliższym czasie spółdzielnia dostanie kilkadziesiąt krow z Samopomocy Chłopskiej — sprawy krow indywidualnych by nie rozwiązało i zadrażnień nie usunęło.

Usunie je gorzelnia, puszczona w ruch. Stanowi ona ten stopień uprzemysłowienia i technizacji w rolnictwie, nad jakim grupa małorolnych i średniorolnych nie może przejść do porządku dziennego. Na „linii deputatów” gorzelnia zajmuje pozycję nie do zlekceważenia. Praca, dochód, surowiec, przetwory — to doradnie, a zaprowadzenie światła do domów, zorganizowanie spółdzielni zaopatrzenia i zbytu, powiększenia zespołu członków i co się z tym bezpośrednio wiąże — rozbudowy budynków mieszkalnych, to wszystko szybko postawi grupę przed spółdzielnią jako jej wielkim, społecznym gospodarstwem. Tyle przybyło nowych kont, dla dochodów każdej rodziny, że teraz pasza majątku i własne krowy posiadających je muszą poddać się wyrównanemu obrachowaniu.

Wiosną i latem odbywały się wędrowki. Wyemigrowało kilka rodzin (rzemieślników i średniaków), przybyło kilka innych. Emigracja objęła niezadowolonych i nie pasujących. Gorzelnia potrzebuje i znajdzie nowych ludzi. Gorzelnie — to nowy warunek do uspołecznienia, postawiony przed Ostrowiakami. Kto go nie przyjmie — wyemigruje, ale nie zlamie „linii deputatów”, nie zniszczy dzieła pionierów bezrolnych. Gorzelnia będzie miała samochód ciężarowy — symbol lokomocji nowej wsi. Szybkiej, masowej i społecznej!



fot. J. Chlusi

Piotr Chmura

POD OSTROWEM MAZOWIECKIM

Artykuł ten wiąże się bezpośrednio z artykułem poprzednim „Ostrowianka”.

Redakcja

Dlaczego „ostrowiancy” wyjechali na majątek, podlegający Statutowi Spółdzielni Parcel Osadniczych? Dlaczego nawet respektując Statut nie wydzielili sobie parcel?

Czyżby skłonność do takiej decyzji była już w nich jakoś wcześniej przygotowana? Skądże przybyli? Jaką mogli mieć przeszłość? Są to chłopci spod Ostrowa Mazowieckiego, chłopci z pobraża białostockiego, które przylega do Podlasia (lubelskie) i woj. warszawskiego. Sławne to były przed wojną okolice. Tam dochodziło do pogromów Żydów nie lepszych, niż w głośnie, radomskim Przytyku. Tam, Boże mój, wrzało jak w kotłach. Od północy i wschodu nasuwały się dwa wpływy: kleru i szlachty zagrodowej. Łomżyńska diecezja uchodziła przecież za najbardziej katolicką w Polsce. Od powiatu grodzieńskiego, który był matczynią szlachty zagrodowej, długie języki gestych skupień tych buffonów sięgały do pow. Wysokie Mazowieckie i Ostrow Mazowiecki. Organizacje katolickie nimi były wypiełnione. Zagrodowym dawało to poczucie siły i przeświadczenie, że tworzą elitę. W tych okolicach chłopci do katolickich organizacji nie należeli. Dopiero na pobrażach. Kler święcił tu tryumfy dyplomacji jezuitki. Pan Bóg w jednym miejscu miał być dla szlachty i chłopów, uprzywilejowując szlachtę, w drugim dla O.N.R. i dla chłopów, znów uprzywilejowując klasę i partię, które na chłopskiej nędzy i parafialnym oglupianiu wybudować chciały faszyzm. Po staremu wrzało tam, jak w kotłach. Bo nawet członkowie organizacji kościelnych i Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży, tylko w sprawach wiary zachowywali solidarność z plebanją, w ocenie sytuacji polityczno-społecznej pogłębiali się w krytyce kleru, szlachty i narodowców. „Obóz narodowy” rzucał rękawicami radykalnych frazesów nie zmieniając faktu, że stanowi resztkę szlachetczyzny i wstecznicztwa. Jednym z ich hasła: „Odrodźcie życie w Chrystusie”, klepskie to jednak musi być odrodzenie skoro powracałoby się do zepchnięcia chłopów na szary koniec, by go znów tumanić, by po chłopskich karkach pięć się wyżej, a skoro już się wyżej, na najwyższy szczybel, do chłopów tyłem się odwrócić i powiedzieć: po całym mnie teraz chacie. Kto tak pisał w r. 1937? Syn 24-morgowego gospodarza, członek KSM z pow. Ostrow Mazowiecki.

A inny z pow. Wysokie Mazowieckie: „Trzeba było wsi podsunąć coś, co całkowicie by pochłonięto jej uwagę, co podobałoby się. Szukali takiego kozła ofiarnego. Stronnictwo Narodowe bankrutowało. Ale w karabinie S.N. siedział ostatni nabój. — Żyd. Wystrzelono i pocisk trafił celu. Ryba chwyciła przynętę — wieś widziała Żydów postrojonych, spacerujących, rozśpiewanych, rozgadzanych w sobotę — zazdrościła Żydom bogactw, a pracy ich nie widziała. Klękała i widły poszły w ruch”.

To są okolice, gdzie Żydzi mieszkali licząc na wsiach, gdzie ich rody wiejskie należały do najstarszych. Byli pierwszymi współorganizatorami osad chłopskich po zniesieniu pańszczyzny. Przechodzili wspólne losy z chłopami: rozdrabnianie gospodarstw, wyjazdy do Ameryki, powroty części wzbogaconych, części — nie. Nieliczni znaleźli się w pozycji kułaków, kapitalistów wiejskich, większość, jak większość chłopów, spadła do poziomu małorolnych i bezrolnych. W tych okolicach patronatu kleru i szlachty zagrodowej, ostoi obskurantyzmu, historia każdej wsi od lat 70-tych ubiegłego stulecia do końcowych lat międzywojennych wygląda przeciętnie tak: po pańszczyźnianie 30—50 gospodarstw po 15—20 morgów ziemi, trochę mało i bezrolnych. Po 1930 roku — zagród 200, ludności ponad 1000, 80% posiada 1—5 morg, najczęściej gospodarstwo bez konia, rodziny liczące, 85% gospodarstw karłowatych obciążone „zbędnymi”, duży odsetek bezrolnych. Chaty drewniane, kryte słomą, zle odżywiane, łyche odzienie, mało kto szedł do wyższych szkół. Duży procent analfabectów.

W jednym z życiorysów „Młodego Pokolenia Chłopów” czytamy o takim pogromie Żydów w pow. Ostrow M., we wsi leżącej przy trakcie Warszawa—Białystok, w pobliżu Wyszki. Od r. 1936 z Warszawy działają agitatorzy. Wylepiają hasła: „Precz z Żyda-

mi”, „Bij Żyda”, zaagitowani chłopci powtarzają je w języku lokalnym: „wyność się póki czas”. W czerwcu 1937 r., przed Zielonymi Świętami pewnego dnia „około godz. 8 rano na szosie ukazało się 100 ludzi młodych, wszyscy w granatowych beretach z pałami, gdy tylko połączyli się z tutejszymi narodowcami... rzucili się na Żydów, mieszkania zdemolowali z zewnątrz i wewnątrz, zniszczyli towar doszczętnie... zdemolowali też i buźnicę — w przedziale godziny na miejscu z zabudowań zostały gruzy... Żydz tego dnia udał się do Wyszki, bo nie mieli już do czego wracać”.

Młody pamiętnikarz pisze w r. 1937: „nie działał tu samorodny nurt płynący przeciw Judei, ale zwrócenie nadmiaru energii młodych w chwili krytycznego załamania się, skutkiem plag bezrobocia. Jest to polityka odłamu, który w odpowiedniej chwili dynamikę młodych skierował na krótką, bezcelową metę, by wyładować się, nie czyniąc zbyt wielkiego wyłomu w równowadze społecznej”. Przedwojenną sytuację w pow. Ostrow Mazowiecki ilustrują w „Młodym Pokoleniu Chłopów” w większości wypowiedzi młodzieży średniackiej i wielkomorgowej (jak na tamte stosunki, gdzie nawet szlachta zagrodowa w 65% miała po 15—20 morgów, w 20% po 5—15 morgów, 15% — 50—60 morgów). Do ogłoszonych tekstów ankiety dostała się elita z organizacji panujących w tamtejszym terenie (KSM i ZS), a jest to województwo, które dostarczyło najwięcej życiorysów młodzieży niezrzeszonej, tzw. „dzikiej”. Dzikiej z warunków, gdzie w ciągu roku odbywało się 30 tys. spowiedzi. To znaczy u spowiedzi był każdy 8 razy. „Ośiem razy książd może w duszę jego wglądać i urabiać i przekonać. Dlatego wiara tu jest silna, moralność wysoka... jak to pokazały pogromy, ustawiczne malwersacje w spółdzielniach, nędza mas chłopskich, wywyższanie szlachty zagrodowej, popieranie narodowców. Dzikiej — powtarzam — z warunków, gdzie panujące w okolicy domy parafialne radia nie instalowały, bo członkowie „nic by nie robili tylko słuchali. Życie organizacyjne zamarałoby lub wkroczyło na inne niewłaściwe tory”, gdzie słabo rozwijały się Koła Gospodyń Wiejskich. „Boją się księża aby niewiasty nie były zorganizowane, boją się żęby przyrost naturalny nie zmniejszył się przez propagowanie świadomego macierzyństwa... na wsiach, gdzie małorolnych (1—3 mg) było 80%, na 85% gospodarstw karłowatych „zbędni” wielokrotnie, a rodziny przeciętnie 10 osobowe. Gdzie u zakładaniu innych kół, niż KSM mowy nie ma, bo „czy to Siew czy Wici itp. — tak są podługne przez księży na ambonach, że ludzie na wspomnienie samo o nich, żegnają się krzyżem świętym”. W 1945—6 z tych samych ambon głoszone pochwały Wici, właśnie za ich przedwojenną tradycję.

Tyle się dowiadujemy o warunkach tej „dzikiej” młodzieży, klasowo reprezentującej biedotę wiejską. Dowiadujemy się z wypowiedzi średnio i wielkorolnych. Ale i ta młodzież, mimo że była w KSM-ach, a nawet wówczas kiedy i w S. N., znajdowała się w zasadniczej sprzeczności z polityką i kleru i narodowców.

Dla młodzieży oby tych grup (średnio i wielkorolnej) najważniejszą była sprawa gospodarstwa. Średniorolny (w pojęciu miejscowym) ma świadomość zachwianej pozycji, postępującego zagrożenia ruiny majątkowej: „Bo weźmy przykład. Gospodarstwo 12 mg. ziemi, z zabudowań chatupa i chlew: inwentarz żywy: koń, krowa i prosię oraz kilka kur. Na tym gospodarstwie jest 5 tysięcy długu i niezapłacone podatki za kilka lat. Do wyżywienia jest 5 osób... Kogo ów syn średniaka wyraża w r. 1937? „Zagrożonych upadkiem gospodarstw, trzeba im pomóc”. I dlatego myśli o spółdzielczości, niezrażony wieloma w okolicy bankructwami spółdzielni, broni ich idei, w KSM wpakowuje P. R., choć proboszczowie patrzą na spółdzielnię i kółka rolnicze krzywo. Szerzą one bowiem postęp wiedzy świeckiej, emancypują świeckie organizacje zaostrzają świadomość istniejących różnic klasowych i walki klasowej.

Syn „bogatego” gospodarza (24 mrg.) ocenia tajemnie Str. Narodowe, bo „poznaliśmy, że to nie dla chłopów, dają do rozbicia społeczeństwa: Kółek Rolniczych, Spółdzielni itd...”. Istotą tych napaści jest dążenie do zniszczenia samostanowienia ruchu społecznego na wsi, doprowadzenie ludności wiejskiej do zupełnego rozbicia i bezradności pod wzglę-



fot. J. Chlusi

dem organizacyjnym”. „Ze po szkole zapisałem się do KSM to dlatego, że innej organizacji nie było, a jednak pracować chciałem”. Do KSM, „które przecież jest ramieniem Stronnictwa Narodowego”, jak sam je określił. Któż zatem piekł kasztany i w organizacjach kościelnych i w SN? Oczywiście, bogaci chłopci. Po opisanym pogromie Żydów ich ziemię, place i licencje na sklepy kupili sami narodowcy po cenie — zrozumiałe — bardzo niskiej. „Obecnie katolickich sklepów jest pięć — przy czym zapanowała silna konkurencja”. Ta część bogatego chłopstwa to odłam spekulantów wiejskich, bliższy ideałom drobnomieszczaństwa: drobnego przedsiębiorstwa i sklepu. W nich faszyzm znalazł naturalnego sojusznika. Odłam kułacko-gospodarski pozostawał na pozycjach liberalno-agrarnych. Zajmuje ją i nasz syn 24-ro morgowca. Odbił szkołę rolniczą.

„Prócz znajomości fachu rolniczego i zamieszkania rolnik — ma według niego — odznaczać się przedsiębiorczością i rzutkością przemysłowca a rachunek i kalkulację wziąć od handlowca”. Są to sformułowania rzec by można zachodnio — europejskiej elity kułackiej. I taka jest dla niego wzorem. „W krajach, gdzie rolnictwo jest dobrze zorganizowane, rolnicy poznali wymagania rynków zagranicznych i przez to opanowali te rynki”. U nas „organizować się” jest hasłem, które obija się „jakimś dziwnie nie swojskim echem”. On chciałby sytuacji Czech, gdzie wszyscy chłopci znaleźli się w swojej organizacji. Tam, „pomimo, że rolnictwo stanowi 30 proc. ogółu, rolnicy dają sobie radę, mając silną organizację gospodarczą, do której należą rolnicy o różnych poglądach politycznych, różnej narodowości i religii itd.”

Marzenia tego syna kułackiego odsłaniają piętro klasowe, na jakim rozwijał się agraryzm. Bo co ta perspektywa zakłada? po 1) spełnioną historię kapitalizmu rozwiniętego, jaki osiągnęli Czechy, Szwajcaria, Dania. Kapitalizmu, w którym nie ma miliona dzieci poza szkołą, dlatego nasz młody piętnuje ten stan w Polsce. Kapitalizmu, w którym najbardziej zadowolony chłop porzucił już „stosowanie czarnych ugorów, tego diabolowego zabobonu gospodarskiego”. Kapitalizmu, w którym nie trzeba już nawoływać: „Dlaczego nie wykopie dołu na gnojówkę, której co rok się tyle marnuje? Dlaczego nie zbiera kamieni z pola i nie robi sobie z nich choćby wąskiego chodnika na podwórzu, po którym wiosną i jesienią, trzeba się topić? Dlaczego nie zbiera chwastów z pola i nie kładzie na kupę kompostową? Dlaczego nie przekopie rowów i przegonów na polu, tylko później powiada, że wymokło? Dlaczego wieś własnym wysiłkiem nie poprawi gościńca, tylko łamie wozy i czeka, aż wójt nakaże? Dlaczego chłop nie weźmie ołowka i nie policzy, ile ma słomy i innej paszy i czy ona wystarczy na przechowanie przez zimę gromady „ogonów”. Zamiast narzekać i oczekiwać cudów, wziąć się do pracy, bo dużo więcej zrobi się przez tydzień, niż narzekaniem przez rok”.

Gdyby warunki takiego kapitalizmu zostały spełnione musiałby na ich podstawie budować się nowe jego formy. Właśnie organizacje gospodarze, wiązane i centralizowane, jak w Czechach, o których z zachwytem pisał w 1937 r. syn kułaka mazowieckiego. Wszystko się tam wypełniło według jego recepty: rzutkość i przedsiębiorczość przemysłowca, kalkulacja handlowca, od plodów rolniczych do własnego przemysłu, do własnych banków, do własnych udziałów w innych gałęziach produkcji, do udziału w rabunkowej polityce kapitalizmu imperialnego w tychże ojczystych Czechach. A Volavka w „Stu latach rolniczej polityki” (1948 — Praga) ujawnia jak to organizacje spółdzielcze wsi czeskich były w rękach władzy agrarnej finansjery. Kasy pożyczkowo-oszczędnościowe stawały się bankowym koncernem pod egidą Banku Rolnego w Pradze i Brnie. W r. 1910 dla drobnych rolników wypożyczono z kas Reiffeisena i „Kampeliczek” 94 procent kapitału tych kas (stających się filiami B. R.), a w r. 1925 tylko 44 proc., reszta poszła na inwestycje kartelów i monopolii. Agrarny koncern obejmował (w latach międzywojennych) 20 towarzystw przemysłu cukrowniczego, 2 kopalnie, 4 hurtownie handlu węglem, 7 tow. akc. przemysłu stalowego i kilka towarzystw przemysłu tekstylnego.

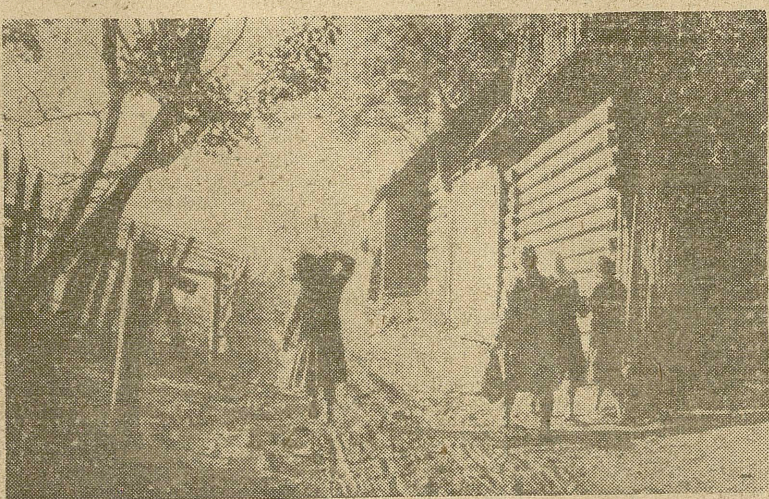
Wspólnie z Bankiem Spółdzielni Spożywców uczestniczył Bank Rolny w przemyśle gorzelniczym i zakładach zbrojeniowych Skody. Morawski B. R. oświadczył 6 wielkich fabryk ciężkiego przemysłu, cały szereg cukrowni, browarów, papierni itd. Agrarny kapitał maczał palce również przed rokiem 1938 w akcjach przemysłu zbrojeniowego i elektrycznego w Niemczech. Finansjera agrarna była reprezentowana w rządzie kapitalistycznych Czech. Poseł R. Slansky powiedział w parlamencie w r. 1937: „W Str. Agrarnym siedzą dzisiaj poza jednym czy dwu samymi baronami cukru, bankierzy, baroni gorzelnictwa, uzbrojenia i ziemi”. „

Akcje 9 największych fabryk ciężkiego przemysłu wzrosły między r. 1932 a 36 z 437 mil. kor. na 2183 mil. kor., tzn. o 360 proc. Czymże kosztem rosły dochody wielkiego kapitału? Gdy chłop w 1932 r. za 100 kg. wolowiny kupił 8246 kg. żelaza (I g.), w 36 r. — już tylko 600 kg. (żelazowego). A równocześnie 73 proc. wszystkich karteli podlegało Bankowi Spółdzielni Spożywców i Morawskiemu Bankowi Rolnemu. 20 posłów i senatorów Stronnictwa Agrarnego broniło w parlamencie spraw dla 60 Towarzystw akcyjnych. Ten obraz wyższej i powszechnej organizacji gospodarczej chłopów czeskich i Stronnictwa Agrarnego nie był znany w roku 1937 naszemu synowi kułaka mazowieckiego. I może by go przeraził odsłonięty cynizm perspektywy, jaką sam kreślił jako wyraz klasowych dążeń. A kreślił ją klasycznie. Jego europejska nowoczesność kazała mu odrzucić Zofikiewiczów, jakich pokazał wczesny pozytywizm na najniższych szczeblach administracji i samorządu na wsi, kazała w przeszłość odkładać hasło „sami sobie”. Spełniono je bowiem w czasach zaraniarskich w wąskich granicach części gromady i w niewielu wsiach. On chciałby zorganizowanej całej wsi i wszystkich wsi. Dla przemysłowców z rzutkością i handlowców z kalkulacji taka sytuacja dopiero była na ich miarę. „To nie będą ci, którzy robią wszystko w myśl wskazań sekretarzy, (gminy), lecz zadowolony tworzyć naprzód małe rzeczy, potem coraz większe... to będą ci, którzy nie będą pracować dla wsi, lecz z całą gromadą — wspólnie. Jako wzorowi gospodarze będą na pewno starali się pomagać innym w ulepszeniu warsztatu”. Kiedy raz jeszcze uprzedzić sobie, że pisał to wszystko syn 24-morgowca w powiecie, gdzie było 80 proc. 1—3 morgowych gospodarzy, stanie się jasne dlaczego marzył on o tym etapie kapitalizmu wiejskiego, w jakim jest agrarna powszechna organizacja o spółdzielczych formach i zadaniach, agrarne przemysły i banki, agrarna polityka zagraniczna. I dlaczego po rodowod dla takiego marzenia sięgał do Kółka Rolniczego — K. R. „to jakby sejm lub senat gromadki, w którym elita gospodarzy miejscowych zastanawia się i obmyśla środki podniesienia swojej wsi i najbliższej okolicy”. Czechosłowacja przeżyła takie senaty gromadkie, takie elity gospodarzy miejscowych. Zastanawiali się oni nad swoją wsią i okolicą, w wyniku, czego na organizacjach gospodarczych wsi i okolicy, jak na instrumentach bogatej orkiestry wygrzali sprawne kolejne etapy własnego, kapitalistycznego awansu. Wieleżyły je u góry Krajowe Banki, Koncerny, Tow. akcyjne, Kartele i monopole — prywatnych udziałowców.

Pomiędzy wyobrażeniami syna średniaka a kułaka jest wyraźna różnica. Pierwszy chciał spółdzielczości i organizacji dla ratowania „zagrożonych upadkiem gospodarstw”. W tym położeniu są już średniacy. Drugi w spółdzielczości i wsi zorganizowanej widział pole do popisu i ekspansji dla klasy kułaków. — Okres faktycznego monopolu dla „elity gospodarzy miejscowych”.

Tak to, a sprzecznie myślił obaj przed wojną. W r. 1947 spod Ostrowa Mazowieckiego nie wyjechał żaden syn kułacki na majątek Platyny. Pojechali bezrolni, małorolni i (najmniej) — średniorolni. Nie poznaliśmy z dokumentów „Młodego Pokolenia Chłopów” dwóch pierwszych grup w powiecie Ostrow Mazowiecki. Nie ma ich dokumentów, poznaliśmy natomiast warunki, w jakich żyli i siły społeczne, jakie na nich pały.

Albo poznajemy ich dziś jako pionierów na spółdzielczym majątku w Olsztynie.



fot. J. Chlusi

Witold Łukaszewicz

Jaka młodzież przyjmujemy na uniwersytet?

ROZWAŻANIA POEGZAMINACYJNE

Komisje dla doboru kandydatów na pierwszy rok studiów do państwowych szkół wyższych, powołane przez Ministerstwo Oświaty spośród przedstawicieli Zarządów Wojewódzkich Samopomocy Chłopskiej, Okręgowej Komisji Związków Zawodowych, delegatów Ministra Oświaty i odpowiednich wydziałów uczelni, mają już poza sobą dwuletnie doświadczenia i niewątpliwie dużo ciekawych spostrzeżeń, które zdobyły w toku prac klasyfikacyjnych i egzaminów w zakresie przedmiotów kierunkowych oraz nauki o Polsce i świecie współczesnym. Niestety, dotychczasowe osiągnięcia wymienionych Komisji są mało znane społeczeństwu, a w szczególności robotnikom, chłopom i inteligencji pracującej. A przecież te trzy podstawowe grupy społeczne Polski Ludowej są bezpośrednio zainteresowane działalnością i wynikami prac Komisji. Nieprzygotowanie materiału sprawozdawczego przez członków Komisji dla doboru kandydatów uniemożliwia podanie publicznemu osądowi dotychczasowych osiągnięć w zakresie demokratyzacji szkół wyższych na odcinku młodzieżowym; wymyka się więc skutek zaniedbania całokształtu tej niewątpliwie pożytecznej i żmudnej ro-

boty. Komisje milczą, materiał spostrzeżeń idzie w zapomnienie zamiast służyć za podstawę dla owocnej samokrytyki, prowadzącej do doskonalenia metod pracy zespołów klasyfikujących i zasad doboru. Nie widać również należycie procesu demokratyzacji wyższych uczelni.

W związku z tym pragnę wyrazić postulat pod adresem Komisji dla doboru kandydatów, aby zechciały przepracować zebrany materiał statystyczno-obszerny i podzielić się swoimi wnioskami ze społeczeństwem. Jako członek II Komisji dla doboru kandydatów na I rok studiów wydziału matematyczno-przyrodniczego Uniwersytetu Łódzkiego podaję garść szczegółów informacyjnych, zaczerpniętych z akt, a odnoszących się do młodzieży, która ubiegała się we wrześniu br. o przyjęcie na biologię, geografę, fizykę i matematykę. O przyjęcie na cztery wymienione kierunki studiów ubiegało się 140 kandydatów. Ich płeć, pochodzenie społeczne, przynależność polityczną, oceny z Nauki o Polsce i świecie współczesnym, dalej różnicowanie społeczne, ilościowe i procentowe tych, którzy nie zostali przyjęci, wreszcie pochodzenie społeczne i przynależność polityczną, oraz oceny przyjętych, zilustrują następujące tabele.

I PRZYSTĘPUJĄCY DO EGZAMINÓW

a) Płeć

	Ogółem	%
Mężczyźni	62	44,2%
Kobiety	78	55,8%
Razem	140	100%

b) Płeć według kierunku studiów

		Ogółem	%	Razem	%
Biologia	Mężczyźni	10	7,1%	73	52,1%
	Kobiety	63	45,0%		
Geografia	Mężczyźni	15	10,7%	18	12,8%
	Kobiety	3	2,1%		
Fizyka	Mężczyźni	8	5,7%	12	8,6%
	Kobiety	4	2,9%		
Matematyka	Mężczyźni	29	20,8%	37	26,5%
	Kobiety	8	5,7%		
Razem		62		140	100%
		78			

Wnioski. Z tabel tych wynika, że feminizacja która objęła wydziały: humanistyczny, lekarski, stomatologiczny i farmaceutyczny Uniwersytetu Łódzkiego kroczy zwycięsko także i na matematyczno-przyrodniczym. Kobiety stanowią ogółem 55,8% kandydatów na biologię, geografę, fizykę i matematykę łącznie. Istny „zawal pici pięknej” przeżywa biologia — bo aż 63 kobiet na 10 mężczyzn;

najbardziej „męskie” kierunki — to geografia i matematyka. Ciekawy jest również rozrzut zainteresowań kandydatów, jeśli chodzi o kierunek studiów. Największą popularnością cieszy się biologia, na którą zapisało się aż 73 osoby czyli 52,1%; dalej matematyka — 37 kandydatów czyli 26,5%; najslabszą fizykę, bo zaledwie 12 kandydatów czyli 8,6%.

c) Pochodzenie społeczne kandydatów

	Ilość	%	Biologia	Geografia	Fizyka	Matemat.
Dzieci robotników	25	17,8	17	12,2	2	1,4
Rolnicy samodzieln.	1	0,7	1	0,7		
Dzieci rolników	17	12,2	3	2,2	4	2,9
Inteligenci pracujący samodzielnie	22	15,7	12	8,7	2	1,4
Dzieci inteligencji pracującej	31	22,1	20	14,3	1	0,7
Nauczyciele czynni	15	10,7	5	3,5	5	3,6
Dzieci nauczycieli	11	7,9	8	5,7	1	0,7
Rzemieślnicy samodzieln.	3	2,1			1	0,7
Dzieci rzemieślników	11	7,9	6	4,2	1	0,7
Dzieci kupców i przemysłowców	4	2,9	2	1,5	1	0,7
Razem	140	100	73	25,1	18	12,8

Wnioski. Skład społeczny młodzieży, która zapisała się na I rok biologii, geografii, fizyki i matematyki, był dobry. Na 140 kandydatów było ze środowiska uprzywilejowanego w rozporządzeniu Ministra Oświaty z dnia 19 maja 1948 r. § 7A (dzieci robotników, chłopów, inteligencji pracującej, którym był utrudniony dostęp do kultury) i z § 7B (nauczyciele i inni) łącznie 122 czyli 87,1%; dzieci rzemieślników i samodzielnich rzemieślników 10%; mało pożądana „inicjatywa prywatna” (kupiacko-przemysłowa) stanowiła 2,9%. Najliczniejsza w grupie uprzywilejowanej — to młodzież ze środowiska inteligencji pracującej. Osiągnęła ona cyfrę 79 czyli 56,4% ogółu kandydatów na wspomniane cztery kierunki studiów wydziału matematyczno-przyrodniczego; w tym nauczycieli czynnych 15 czyli 10,7%, dzieci nauczycielskich 11 czyli 7,9%; łącznie środowisko nauczycielskie dostarczyło 26 kandydatów czyli 18,6%.

Kolejną najliczniejszą grupą to młodzież ze środowiska robotniczego stanowiąca 17,8%; na trzecim miejscu uplasowali się kandy-

daci pochodzenia chłopskiego — 12,9%; na czwartym — kandydaci ze środowiska rzemieślniczego — 10%, na końcu „inicjatywa prywatna”. Młodzież pochodzenia robotniczo-chłopskiego skupia gros swych zainteresowań na biologii i matematyce (33 na 43 zapisanych), najsłabszym powodzeniem cieszyła się u niej fizyka (3 osoby). Wśród kandydatów ze środowiska robotniczo-chłopskiego 1 — to zawodowy rolnik uprawiający samodzielnie swoje kilkomorgowe gospodarstwo. Zapisał się na geografę, niestety nie zgłosił się do egzaminów i odpadł.

Kandydatów pracujących zarobkowo (na własne utrzymanie) było 41 czyli 29,2%, w tym jeden rolnik, trzech rzemieślników (2 ślusarzy i 1 czeladnik piekarski), piętnastu nauczycieli i dwudziestu dwu pracowników umysłowych w służbie państwowej, samorządowej itd.

Żaden z kandydatów ze środowiska „inicjatywy prywatnej” (kupiacko-przemysłowego) nie pracował zarobkowo.

d) Przynależność polityczna kandydatów

	Partie zblokowane i ZMP	Ogółem na 140	%
	Ilość kandydat.	Zorgan.	Niezorgan.
Biologia	25	17,9	
Geografia	9	6,4	
Fizyka	2	1,4	
Matematyka	11	7,9	
Razem	47	33,6	

Wnioski. Kandydaci zrzeszeni w ZMP i partiach Bloku Demokratycznego, z przewagą widoczną po stronie dawnego ZWM i „Wici” oraz PPR, stanowią łącznie 33,6% ogółu kandydatów. Jest to objaw dodatni, świadczy on bowiem o systematycznej demokratyzacji wyższych uczelni na odcinku młodzieżowym w miarę stabilizowania się stosunków politycznych, społeczno-gospodarczych i kulturalnych w Polsce Ludowej. W

porównaniu z latami poprzednimi widać znaczną poprawę. Młodzież garnąc się do studiów wyższych zdobywa uświadomienie polityczne w demokratycznych partiach politycznych i w nowoorganizowanym Związku Młodzieży Polskiej. Istnieją jednak w tym „dorabianiu się osobowości demokratycznej” poważne przeszkody, których nie uwidoczniła statystyka. Ujawniły się one wyraźnie w wy-

niku rozmów członków Komisji z kandydatami. Przeszkody te polegają na tym mianowicie, że w liceach dość często profesorowie

historii, języka polskiego, a głównie nauki o Polsce, wyraźnie okazują swą niechęć wobec młodzieży zorganizowanej politycznie.

e) Oceny z nauki o Polsce i świecie współczesnym

	Ilość b. dobrych	Ocen. b. dobrych	Ocen. dobrych	Ilość punktów	Przeciętna na 1 kandydata odpowiad.
Kandydaci zorganizowani politycznie	27	8	9	76	2,81
Kandydaci nie należący do organizacji politycznych	53	5	21	109	2,05
Razem	80	13	30	185	2,31

Za podstawę do ułożenia tabeli wzięto dane dla 80 kandydatów przeegzaminowanych przez jednego profesora przy zachowaniu mo-

żliwie jednakowych kryteriów wystawiania ocen.

f) Dane dla 15 nauczycieli, którzy składali egzamin z nauki o Polsce i świecie współczesnym

	Ilość skład.	Ocen. b. dobrych	Ocen. dobrych	Ilość punkt.	Przeciętna na 1 odpowiad.
	15	2	2	18	1,20

Wnioski. Młodzież zorganizowana politycznie składała egzamin z nauki o Polsce i świecie współczesnym znacznie lepiej niż „dzika”; różnica w przeciętnej wynosiła 0,76 punktów. Wyjątkowo słabo zdawali nauczyciele, ich przeciętna wynosiła zaledwie 1,20 punktów i jest o 1,61 punktów niższa od przeciętnej młodzieży zorganizowanej politycznie. Na cztery odpowiedzi bardzo dobrych i dobrych — przypadających na nauczycieli — trzy pochodziły od nauczycieli należących do PPR (2) i SL (1), czego nie uwidoczniło w tabeli. Fakt ten świadczy dobitnie o tym, że przynależność do partii politycznej i ZMP wpływa niezwykle dodatnio na zakres wiadomości z nauki o Polsce i świecie współczesnym. W cyfrach kształtuje się to w ten sposób, że stopień 4 otrzymało 63% spo-

śród egzaminowanej młodzieży zorganizowanej politycznie (17 na 27), natomiast tylko — 49% młodzieży „dzikiej” (26 na 53).

W świetle omawianych danych tabeli f) wynika, że poziom uświadomienia społecznego politycznego 11 nauczycieli był słaby. Zasadę nawet wypadek, że długoletnia nauczycielka otrzymała stopień niedostateczny z Nauki o Polsce. Nie znała ona kompletnie istoty przemian ustrojowych, jakie zaszły w Polsce od chwili wyzwolenia; na marginesie należy również mimochodem zauważyć, że nauczycielka ta nie wiedziała, jak się nazywa jej przełożony na szczeblu ministerialnym — Minister Oświaty. Znała ona natomiast doskonale polską hierarchię kościelną od swego dziekana aż do obu kardynałów włącznie.

II WYNIK EGZAMINÓW I KLASYFIKACJI

1. Nieprzyjęci według pochodzenia społecznego

	Ogółem na kand.	%	Nie przyjęto	%	Biologia	Geografia	Fizyka	Matemat.
					Ilość %	Ilość %	Ilość %	Ilość %
Dzieci robotników	25	17,8	1	0,7	1	0,7		
Rolnicy samodzieln.	1	0,7	1	0,7				
Dzieci rolników	17	12,2	2	1,4				
Inteligenci pracujący samodzielnie	22	15,7						
Dzieci inteligencji								
pracujące	31	22,1	4	2,9	2	1,5	1	0,7
Nauczyciele czynni	15	10,7	2	1,4	1	0,7		
Dzieci nauczycieli	11	7,9	3	2,2	2	1,4		
Rzemieślnicy samodz.	3	2,1						
Dzieci rzemieślników	11	7,9	2	1,4				
Dzieci kupców i przemysłowców	4	2,9						
Razem	140	100	15	10,7	6	4,3	1	0,7

zdało 125 kandydatów czyli 89,3%

Wnioski. Przyjęto 125 kandydatów na 140 zapisanych do egzaminu, czyli 89,3%. Odpadło ogólnie 15 kandydatów w wyniku egzaminów i wskutek nie zgłoszenia się (w tym 1 samodzielny rolnik); stanowi to 10,7% ogólniej liczby kandydatów, którzy złożyli podania o przyjęcie na biologię, geografę, fizykę i matematykę. Najlepiej składali egzamin inteligenci pracujący zarobkowo, ani jeden z nich nie odpadł, chociaż stanowili 15,7% ogółu kandydatów; nie odpadł również żaden z 3 rzemieślników, stanowiących 2,1% ogółu kandydatów. W 100% zdała także egzamin „inicjatywa prywatna” (4 osoby).

Odpadli natomiast: 1 kandydat ze środowiska robotniczego, 2 z rolniczego, 2 czynnych nauczycieli, 3 ze środowiska nauczycielskiego, 4 ze środowiska inteligencji pracującej (dzieci inteligentów) i 2 kandydatów pochodzenia rzemieślniczego.

Najtrudniejsza dla zdających okazała się matematyka, 7 nieprzyjętych na 37 zgłoszonych; najłatwiejsza była geografia. Prawie co 5 kandydat zdający egzamin z matematyki odpadał z powodu słabego przygotowania, chociaż wymagania egzaminacyjne były na ogół mniej niż przeciętne.

2. Nieprzyjęci według zróżnicowania politycznego i pęli

	Ilość	Biologia	Geografia	Fizyka	Matemat.	Mężcz.	Kobiet
Kandydatów zorganizowanych politycznie (Partie Bl. Dem. i Z. M. P.)	1				1	1	
Niezorganizowanych politycznie t. zw. „dzikich”	14	6	1	1	6	7	7
Razem	15	6	1	1	7	8	7

Wnioski. Na 15 nieprzyjętych był tylko 1 kandydat zorganizowany politycznie oraz 14 „dzikich”. Świadczy to dobrze o poziomie naukowym młodzieży demokratycznej. Kobiety o wiele lepiej były przygotowane do

egzaminów od mężczyzn. Na 78 kobiet odpadło tylko 7, zaś na 62 mężczyzn 8, co w ujęciu procentowym wygląda następująco: kobiet odpadło 9%, mężczyzn 13% (przy założeniu 78 = 100% i 62 = 100%).

3. Środowisko społeczne i zróżnicowanie polityczne przyjętych na I rok biologii, geografii, fizyki i matematyki

	Ilość	%	Pracujących	%	Zorganizowanych	%
					politycznie	
Robotnicze	24	19,2			9	7,2
Chłopskie	15	12,0			12	9,6
Inteligencji pracującej łącznie z nauczycielstwem	70	56,0	35	28	23	18,4
Rzemieślnicze	12	9,6	3	2,4	2	1,6
Handlowo-przemysłowe	4	3,2				
Razem	125	100	38	30,4	46	36,8

Wnioski. Na 125 przyjętych pochodzi ze środowisk: robotniczego, chłopskiego i inteligencji pracującej łącznie z nauczycielstwem (grupa uprzywilejowana) — 109 osób czyli 87,2% wszystkich przyjętych; ze środowiska rzemieślniczego 12 osób czyli 9,6%; z „inicjatywy prywatnej” (handlowo-przemysłowej) 4 osoby, czyli 3,2%. Ta ostatnia zwiększyła w wyniku egzaminów i selekcji swój stan posiadania z 2,9% na 3,2% czyli o 0,3%. Natomiast zmniejszył się stan posiadania młodzieży ze środowiska rzemieślniczego z 10% (przed egzaminem) na 9,6% (po egzaminie)

czyli o 0,4%. Jej kosztem wzmocniła się wzmiarkowana wyżej „inicjatywa prywatna” o — 0,3% i grupa uprzywilejowana o — 0,1%.

Zwiększył się procent pracujących zarobkowo wśród przyjętych kandydatów: z 23,2% na 30,4% czyli o 1,2%. Wzrósł również procent młodzieży zorganizowanej politycznie wśród przyjętych: z 33,6% do 36,8% czyli o 3,2%. W tym młodzież z grup uprzywilejowanych stanowi 35,2% ogółu przyjętych kandydatów, młodzież rzemieślnicza zaledwie 1,6%; „inicjatywa prywatna” jest „dzika”.

4. Młodzież zorganizowana politycznie w stosunku do swego pochodzenia klasowego (po egzaminach)

ŚRODOWISKO	Na przyjętych	Jest zorgan- izowanych	politi:	Czyli %	% ogólnej liczby zorgan- izowanych politycznie przy czym 46=100%
Robotnicze	24	9		37,5	19,6
Chłopskie	15	12		80,0	26,0
Inteligencji pracującej łącznie z nauczyciel- stwem	70	23		33,0	50,0
Rzemieślnicze	12	2		16,6	4,4
Handlowo- Przemysłowe	4				
Razem	125	46		—	100% = 46

Wnioski. Przyjęta na 4 kierunki studiów: biologię, geografę, fizykę i matematykę młodzież ze środowiska chłopskiego jest zorganizowana politycznie w 60%, zajmując pierwsze miejsce przed młodzieżą pochodzenia robotniczego — 37,5%, oraz inteligentką — 33%. Na szarym końcu znalazła się młodzież ze środowiska rzemieślniczego, zrzeszona politycznie zaledwie w 16,6%; na całkowitym uboczu wobec Polski Ludowej usadowiły się latorośle ze środowiska burżuazyjnej „inicjatywy prywatnej”.

Wysoki procent zorganizowanej politycznie młodzieży wiejskiej i robotniczej, która została przyjęta na I rok wspomnianych kierunków studiów na wydziale matematyczno-przyrodniczym, potwierdza słuszność wytycznych Ministerstwa Oświaty przy doborze kandydatów na wyższe uczelnie. Okazuje się

dobitnie, że młodzież robotniczo-chłopska stanowi awangardę postępu społecznego. Przeciwnie co drugi nowopryjęty na biologię, geografę, fizykę i matematykę Uniwersytetu Łódzkiego student(ka) pochodzenia robotniczo-chłopskiego jest członkiem ZMP lub demokratycznych partii politycznych, co trzeci — ze środowiska inteligencji pracującej, natomiast — co szósty zaledwie ze środowiska rzemieślniczego. Połowa zrzeszonej politycznie młodzieży, przyjętej na I rok studiów wymienionych 4 kierunków, rekrutuje się ze środowiska inteligencji pracującej łącznie z nauczycielstwem. Jest rzeczą niezmiernie interesującą zbadać, czy właśnie ta inteligentka grupa będzie nadawała ton i kierunek ogółowi zorganizowanej politycznie młodzieży na I roku studiów omawianego Wydziału.

5. Zestawienie końcowe

Młodzież — Środowisko	Przed egzaminem %	Po egzaminie %
Robotnicze, chłopskie, inteligencji pracującej łącznie z nauczyciel- stwem (uprzywilejowane)	87,1	87,2
Rzemieślnicze łącznie z handlowo- przemysłowym	12,9	12,8
Razem	100	100

Nasuwa się pytanie, czy Komisja II dla doboru kandydatów na biologię, geografę, fi-

zykę i matematykę UŁ spełniła swoje zadanie? Sądzą, że tak. Przeprowadziła ona ol-

brzymi materiał „papierowy” i ludzki, zgromadziła z akt kandydatów, w wyniku egzaminów i rozmów z młodzieżą, wiele cennych spostrzeżeń i w oparciu o nie dokonała doboru. Wypadł on właściwie: 87,2% przyjętych — to młodzież ze środowisk mających utrudniony dostęp do kultury.

Mógłby kto mało wnikliwy powiedzieć, że praca Komisji sprowadziła się w zasadzie do poprawy stanu procentowego młodzieży pochodzącej ze środowisk uprzywilejowanych w rozporządzeniu Ministra Oświaty zaledwie o — 0,1%, tak bowiem wynika z suchego zestawienia końcowego nr 5. Tego rodzaju pogląd byłby jednakże równoznaczny z niedocenianiem wysiłku i prac członków Komisji, która skontrolowała skrupulatnie tak od strony naukowej, jak i pochodzenia społecznego licząc 140 osób materiał kandydatki i ułatwiła w pierwszym rzędzie młodzieży ze środowiska robotniczego, chłopskiego i inteligencji pracującej dostęp do wiedzy i awansu społecznego. Trzeba obiektywnie przyznać, iż Komisja miała w znacznym stopniu zadanie ułatwione, a to z tego względu, że wydział matematyczno-przyrodniczy nie zalicza się do „opłaczalnych”, stąd i napór elementu kapitalistycznego mającego oparcie w „inicjatywie prywatnej” nie był tak silny na biologię, geografę, fizykę i matematykę, jak na medycynę, stomatologię i farmację.

Na zakończenie jeszcze garść informacji. W artykule niniejszym nie uwzględniono wieku kandydatów i przyjętych, nie podano również ich zróżnicowania majątkowego. Powodem był brak wyczerpujących danych.

Jako curiosa jeśli chodzi o wiek, warto przytoczyć dwa wypadki. Komisja przyjęła 1 kandydata, który miał zaledwie 14 lat skończonych i piątkowe świadectwo dojrzałości. Złożył on również pomyślnie egzaminy. Drugi kandydat liczył sobie aż 64 lata, był z zawodu nauczycielem, złożył na trójki i został przyjęty na matematykę. W tym samym czasie przed tą samą Komisją składała egzamin jego córka, uzyskując podczas egzaminu oceny dobre. Została ona przyjęta na biologię.

Byłem świadkiem rozczulającej sceny: po egzaminach ojciec i córka uściśnili się mając łzy radości w oczach.

Były i inne mniej budujące szczegóły. Oto one: „Największym organizmem cudzoziemym będzie organizm człowieka, ponieważ człowiek żyjąc konsumuje zarówno organizmy zwierzęce, jak i roślinne. To jest bardzo śmieszne, ale drugim takim stworzeniem na naszej ziemi będzie świnia domowa...”

Różnica między kotem domowym i dzikim polega na tym, że kot dziki, to jest taki kot, który uciekł z domu i zdziwiał. Są to dwa wyjątki z wypracowania kandydatki, składającej egzamin pisemny z biologii. Aż strach pomyśleć, co by się stało z kandydatką gdyby poszła w ślady kota domowego i uciekła z domu. Może ona konkurować z inną kandydatką, która zdając na historię pisała w swym elaboracie: „Zygmunt August nadał w roku 1772 Konstytucję 3 Maja, szczyt postępu i demokracji”.

A oto niektóre argumenty, jakimi przemawiano do Komisji, aby umieścić kandydatów w grupie uprzywilejowanej:

1) Kapitan X, komendant obozu kolarskiego w Y, wystawił zaświadczenie, w którym zaznaczył, że kandydat winien być przyjęty na wyższą uczelnię, ponieważ przebywał w jego obozie, który „miał krzewić kulturę sportową wśród szerokiego mas społeczeństwa wiejskiego i zbliżać młodzież wiejską z miastem”.

2) jeden z „inteligentów” chcąc ułatwić sobie dostanie się na wyższą uczelnię i przekonać Komisję, że miał utrudniony dostęp do kultury pisał w życiorysie: „W czasie okupacji ojciec zajął się pracą zarobkową (jak się okazało sprzedawał rąbanke) a ja siedziałem w domu bez nauki i kultury”.

Sądzę, że nie są bez znaczenia dla charakterystyki prac Komisji również i te wymienione wyżej kwiatki logiki niektórych kandydatów i ich protektorów.

Witold Łukaszewicz

Jerzy Miller

UWAGI O „DZIWNEJ ZABAWIE” *)



Roger Vailland

W nr. 39 „Odrodzenia” ukazał się artykuł Vaillanda pt. „Bronię „Dziwnej Zabawy”. Nie broni się utworu, któremu nie stawiano by zarzutów. Zarzuty musiały być podniesione przez krytykę francuską. W nr. 42 „Odrodzenia” ukazała się recenzja Heleny Wielowieyskiej o tonie bezwzględnie aprobującym eksperyment Vaillanda. Powieść Vaillanda jest klasycznym przykładem tzw. amorficznej prozy — kompozycja powieściowa zmieszana z reportażem i pamiętnikiem. Zdaniem A. Ważyka twórczość amorficzna jest krańcowym rozkładem budowy powieściowej, jest to forma subiektywnego widzenia, spowiedzi i porachunków, zmieszana ze szczątkami powieściowymi. „Widzimy w opinii literackiej — mówi A. Ważyk w dyskusji „Kuźnicy” — próby uzasadnienia tej amorficznej prozy. Jeśli dzisiaj się mówi o jakichś subiektywnych normach budowania utworu powieściowego, to te wszystkie normy niesprawdzone zbiegły się z podstawową tendencją ekspresjonistyczną. Według przyjętego uzasadnienia — jakieś napięcie przeżywanych treści nie pozwala pisarzowi napisać powieści i zmusza go do szukania nowych gatunków”.

W naszej powojennej literaturze nie znalazłbyśmy powieści, które dalałyby się porównać z książką Vaillanda, jeżeli chodziłoby o zakres tematyczny. Akcja prozy Vaillanda rozgrywa się w czasie wojny w środowisku ruchu oporu. Główne postaci powieści zaangażowane są w lewicę, w partii komunistycznej. Pochodzenie społeczne bohaterów drobnonomieszczańskie albo mieszczańskie. Można odnaleźć podobieństwo pomiędzy młodzieścią

Marata a młodzieżą bohatera „Jeźdźcy Bożeńskiego”, lub nawet bohatera „Drewnianego Konia”. Podobnie jak u Brandysa i Dygata postawy wojenne ich postaci są uwarunkowane ich pochodzeniem społecznym, wychowaniem i sytuacją ekonomiczną ich krajów jeszcze w okresie międzywojennym. Podobną metodę pisarską stosują wszyscy ci autorzy, cofając się za pomocą retardacji jeszcze do lat przedwojennych.

Pomijając enigmatyczną wartość powieści Dygata, czy Brandysa w ocenie obiektywnej rzeczywistości, w ich książkach znaleźć można próby uzasadnienia losów bohaterów wyłącznie wychowaniem domowym. Już wówczas zostaje zadecydowane ich życiowe osamotnienie. Wszyscy trzej pisarze próbują z dzieciństwa wywieść szereg kompleksów swoich postaci. U bohatera „Drewnianego konia” wytworzyły się już wtedy neuropatyczne kompleksy; Dygat swego bohatera wtłoczył w atmosferę drwiny.

Vailland przede wszystkim daje pełniejszy obraz ludzi, którzy wywodzą się z drobnonomieszczaństwa w latach przedwojennych dochodzili pełnoletności. Streszczam słowa wypowiedziane w obronie powieści: lata międzywojenne skazywały synów drobnonomieszczaństwa na powolną degenerację. Przyspieszenie koncentracji wielkiego kapitału pogłębiło różnicę pomiędzy drobną burżuazją a mieszczaństwem. Kariera została wyłącznie zarezerwowana dla synów drobnej kasty tzw. „dwustu rodzin”. Niespodziewany awans nie mógł się zdarzyć. Syn drobnonomieszczaństwa wiedział, że w praktyce skazany jest całe życie tkwić w szarzyźnie drobnonomieszczańskiego stanu. Jeżeli posiadał serce i umysł, buntował się. Lecz ów sprzeciw nie miał wyrażonej metody. Trudno było stać się świadomym rewolucjonistą. Nie trzeba zapominać, że młodzież burżuazyjna nie miała żadnego kontaktu z ludem swego kraju.

Młodzi Francuzi szukali wyjścia w surrealizmie, w narkotykach, w anarchii, w przegrodzie à la Malraux. Zgodnie z metodą powieści o losach ich decydował przypadek. Wiele z tych oślepłych „desperados” dopiero wojna zmusiła do zajęcia wyraźnego stanowiska. Najlepsi z nich znaleźli się wówczas u boku robotników francuskich. Z ludzi marginesowych stali się patriotami, rewolucjonistami. W walce znaleźli rozwiązanie nekających ich sprzeczności. Akcja powieści rozgrywa się wśród takich ludzi. Toczy się w dniach poprzedzających wstąpienie Marata do partii komunistycznej. Jego prawdziwe nazwisko brzmi Lamballe. W trakcie czytania powieści ogarnia nas obawa, o ile zmiany, jakie się dokonały w postawie „desperados”, których wymownym przedstawicielem jest Marat, znajdują swój odpowiednik kształt przy przejściu na pozycję zaangażowanego członka ruchu oporu — komunisty. Pojęcie walki o ile nie oznacza się ściśle jej celu, jakże jest dopasowane do znaczenia słowa „desperados”. Zmiany jakie odnotowuje Vailland w postępowaniu Marata są nieznaczne. Streszczając się one w gruncie rzeczy nie na zmianę sposobu życia, lecz na zmianę sposobu myślenia. Marat staje się obowiązkowy: „Nawet za cenę spotkania się z ministrem dawnej nie porzuciłby kobiety. Obecnie porzuca ją, aby wysłać do Londynu wiadomości, któ-

re nigdy nie przydadzą się na nic”. Można zapytać się, czy to jest istotna zmiana w zachowaniu się członka partii — komunisty? Marat przekonuje Ankę do komunizmu: „W każdej wiosce francuskiej ludzie dzielą się na dwie nieprzejednane partie, czerwonych i białych, lewicę i prawicę. Ten antagonizm dalałoby się wyśledzić poprzez całą historię człowieka”.

Wielowieyska pisze, że książka jest psychologicznie doskonale umotywowana. Trudno jest jednak wyśledzić powody skłaniające Marata do gadulstwa. Wygadał się przed Matyldą z tajemnic ruchu oporu. Cała dalsza akcja powieści to już spożywanie konsekwencji tej lekkomyślności. Walka pomiędzy Maratem a Matyldą jest potrzebna Vaillandowi do kompozycji powieściowej. Jej rozwiązanie jest niezależne od wszelkiej psychologii i socjologii. Jest dziełem przypadku. A zatem powieść Vaillanda jest powieścią o losie. „Los nie wie co to moralność”. Nie rozumiem, dlaczego Vailland postawił sobie za cel podkreślenie doskonałej symbiozy istniejącej pomiędzy nacjonalistami a komunistami walczącymi o niepodległość. Wymagałoby to pełniejszego naświetlenia od tego, jakie daje Vailland. Komuniści zającą są podobnymi miłosniami. (Wieczór Karakalli i Marata). W przerwach zajmują się przemysłem bibuły itd. Czynią to samo, co degaulliści. Nie ma pomiędzy przedstawicielami tych skrajnych kierunków walk ideologicznych. Natomiast są one rozważane po intelektualnie w sumieniu Marata, Fryderyka, Anki. Vailland nie wyjaśnia na czym zasadzała się współpraca Marata z Karakallą. Czy rzeczywiste zawieszenie dawnych sporów było pełnomocne aż do zakończenia wojny? Nie próbuje wyjaśnić, dlaczego część nacjonalistów znalazła się w szeregach petainowców.

Doskonale natomiast ukazuje nam autor inteligencję nowokreowanych komunistów, przejawiającą się np. w skłonności do rezerwowania. W scenie rozmowy z Anką Marat zwierza się: „Biję się u boku komunistów, uznaję bez zastrzeżeń doktrynę, robię wszystko, co mogę dla partii, więcej być może niż niejeden aktywista. Ale ja nie mam stylu komunistycznego... Jestem synem mieszczańskim. Walczę przeciw swojej klasie wszelkimi siłami, ale odziedziczyłem jej nałogi, lubię jej zbytek, jej przyjemności”. Nieco przedtem Vailland w wypowiedzi od-autorskiej odpowiada na pytanie: dlaczego Fryderyk jest komunistą, w następujący sposób: „Dla tych samych powodów, które w innych czasach każałyby mu wstąpić do klasztoru, dlatego, że partia ma doktrynę równie ścisłą jak dogmat i wymaga od swych członków bezwzględnej dyscypliny”.

Marat dekonspiruje przed Matyldą organizację. Dziwny się temu, ponieważ stosunek Marata do Matyldy jest podejrzliwy. Matylda jest narkomanka, jest cyniczna. Jednak Marat umawia ją na spotkanie z Karakallą. Odtąd zaczyna się właściwa „Dziwna Zabawa”. Matylda staje się donosieliem. Marat załatwia sprawę uwolnienia Danniego z więzienia. Nie wiadomo tylko, dlaczego była im potrzebna dla uwolnienia towarzysza Matylda. Danni przecież miał więcej kochanek. Po to uruchamia się cały aparat or-

ganizacji, angażuje się dyktarza ruchu oporu. Vailland zaczyna się posługiwać chwytami sensacyjnej literatury. Odtąd tok powieści zaczyna warto płynąć, niekiedy jeszcze komentarz, czy fragmenty pamiętnika (nota bene wyłamujące się z ogólnej konstrukcji) próbują ratować powieść.

Jako przykład sceny wulgarniej, tendencyjnie przerysowanej, a zatem bez wartości, przytoczę moment, gdy dwaj kolaboranci, dziennikarze, rozpoznali w Maracie dawnego socjalizującego kolegę. Zgodnie postanawiają go zadenuncjować. Dialog niewybredny. W trakcie rozmowy częstują się potrawami o zawrotnych cenach. Zamawiają trzecie porcje befsztyków. Jeden z nich powiada: „Trzydzieści srebrników na czarnym rynku Jerozolimy musiała kosztować norcia befsztyku. Oni przychodzą (tacy jak Marat) zaciągnąć się wonią naszych przewrzących trupów”. Zaczyna wymiotować — To nie jest udany sposób kompromitacji kolaborantów.

„Dziwna Zabawa” toczy się dalej. Marat ostrzega Chloe, aby wzmogła czujność i nie ukrywała tak wielu konspiratorów u siebie. Ta odpowiada: „Nigdy nie będę ci dość wdzięczna. Tak nudziłam się przedtem”.

Pobyt Marata na prowincji nie pozostaje w związku logicznym z konstrukcją powieści. Dwudziestogodzinna rozmowa ideologiczna z Anką w czasie, gdy oddziały partyzanckie wysadzały pociąg wiozący generała, nie mogła mieć swego realnego odpowiednika.

Działacze oporu obstawiają Marata, gdy idzie na spotkanie z Matyldą, obstawiają Matyldę, Karakallę.

Książka może być rozmaicie rozumiana przez rzeszę czytelników. Ruch oporu nie znalazł w powieści Vaillanda należytego oświetlenia. Niezręczną obronczynią Vaillanda staje się Wielowieyska, gdy pisze: „Postaci konspiratorów są tak zróżnicowane społecznie, politycznie i psychologicznie, że pomimo braku (w powieści) przedstawicieli robotników można w sumie uznać ich za społeczeństwo francuskie, tym bardziej, że o tych robotnikach walczących w powieści jest mowa”. — Złe czyni Wielowieyska broniąc w ten sposób Vaillanda, bowiem przytoczone zdanie nie ma sensu.

W OSTATNIM NUMERZE 43 (172)
z dnia 24 października 1948 r.

Zbigniew Wasilewski — Front nauki; Anie-la Wyreba — Polonistka warszawska; Konrad Nałęcki i Andrzej Wajda — Głos młodych artystów; Jerzy Miller — Poezje; L. S. — Na obradach działaczy chłopskich; Tadeusz Drewnowski — Plakat, który zapowiada zjazd; Mieczysław Građ — Walka klasowa na wsi rzeszowskiej; Wiesław Jądrzyński — Notatki o „martwych duszach”; Andrzej Braum — Sprawa Żelbet; Ludwik Marcinkowski — Boi się on więcej republiki niż ateizmu; Stanisław Gołachowski — Miasto przemian społecznych; Stanisław Gebala — Nowoczesne „przypisanie do ziemi”; Faltv i zdania: Komunikaty; 18 ilustracji; 12 stron.

*) „Dziwna Zabawa” Roger Vailland, „Czytelnik” 1948

Edmund Niziurski

Pieniądz i filantropia na prowincji^{*)}

Na progu twórczości każdego pisarza o silnej indywidualności artystycznej znaleźć można dzieło - prospekt. W dziełku takim po raz pierwszy, po okresie młodzieńczych poszukiwań i terminatorek pisarskich, wypowiada autor własne „credo” i stawia pewne zagadnienia, które odtańd będzie stale pogłębiał i rozwijał. Takim kluczem do twórczości Żeromskiego jest niewielka powieść „Promień”, której pierwodruk ukazał się w warszawskim „Głosie” w r. 1887.

Obok znanych z późniejszych powieści motywów powrotu do strony rodzinnej czy do gubernialnego miasteczka (Łżawiec z „Promienia”, podobnie, jak Kłeryków z „Szyfów”), prac” to jeszcze jedna literacka wizja Kielc, wysuwa się tu na czoło zagadnienie pracy społecznej.

Literaci, namiętni badacze rozwoju społecznego, podobnie jak uczeni, studiujący typowe przeobrażenia się organów żywych, łapia procesy społeczne w najkrytyczniejszych momentach. Cała powieść XIX wieku to epopeja liberalizmu wojującego o zwyciężającego. Takim jest Balzac, takim Prus. W „Lalce” kapitalizm szturmuje jeszcze do twierdzy. W końcu XIX wieku przemiany gospodarcze i społeczne zaczęły obejmować i prowincję. „Promień” Żeromskiego przedstawia właśnie ostatni etap tej walki na prowincjonalnych opłotkach Łżawca. Przeprowadzenie kolei wciągnęło zapadły Łżawiec w orbitę gospodarki przemysłowej. Miotła kapitalistyczna wyrzuca na śmietnik dawnych rzemieślników i kupców z tradycją sięgającą czasów „Powrotu taty”. Kogo oszczędził „młot przemysłu fabrycznego”, tego dobija życie nad stan, którym mieszczaństwo zaraziło się od hulającego ziemiaństwa w wyniku rozwiązywania patologicznego problemu „ja i arystokracja”, zanalizowanego ciekawie przez Chałasińskiego w „Spółecznej genealogii inteligencji polskiej”. W tym ujęciu zagadnienia można się doszukiwać bliskich analogii między tragedią kupca - bankruta Żłopowicza z „Promienia” a tragedią Wokulskiego. Pojawiają się ludzie nowi, ludzie od robienia „pieniącha” za wszelką cenę i sekundująca im inteligencja zawodowa z adwokatem Koszczykiem w roli głównej. Mimochoodem należy zauważyć, że ta elita małomieszczańska ma szczególne zabarwienie. Ciążą na niej silnie wpływy szlachackie. (Żłopowicza zarzyna wielkopolski tryb życia, miejscową opinię reprezentuje „Gazeta Łżawiecka”, silnie, trzeba by powiedzieć monstrualnie szlachacka, chociaż i zamożniejszemu mieszczaństwu nie odmawiała praw bytu i prenumeraty). Nadto elitę tę cechuje swoista hipokryzja, strojenie się ustawicznie w płaszczyk „etyki”. Etyka staje się piłką, rzuconą z rąk do rąk, kijem w ręku możnych. Etyką próbowało czcigodne grono łżawieckich mecenasów powstrzymać „wierzgające” Koszczyckiego „od konkurencji w brudnych interesach”. W imię etyki ćwiczył na łamach „Gazety Łżawieckiej” red. Olsniony Raduski. I pożał się Boże, jakaż to była etyka! „Zródłem istotnego zgorznienia był felietonik (w piśmie Raduskiego), doradzający pannom, „żeby w chwilach wolnych od marzeń i walców, myły podłogi i przynajmniej z lekka szorowały schody (srodze brudne w mieście Łżawcu). Było to rzecz prosta bezbożne szarganie świętej instytucji, rodziny, obyczajów i moralności”.

Ze szczególną uwagą obserwuje Żeromski życie nowej klasy społecznej: motłochu łżawieckiego. Ledwo zmęczony podróżą Raduski przybył do Łżawca, już autor każe mu obchodzić wieczorem zaufki łżawieckie i zaglądać do okien jak upiorni. Rezultat — pobicie Raduskiego przez opryszków tutejszego White Chapel, lecz i skompletowanie smutnej socjologii miasteczka. Centrum pełne blichtru i łajdackie przedmieścia. Przesuwając się przed oczyma Raduskiego: służąca piorącą jedną koszulę na święto — ow „Kallibana”, „Burzy” Szekspira, półwierz, półczłowiek... Marysia czy Kasia, nasz kulturalny Haustier... dalej wykuwacz pomników, żydyak-szewczyk, Szymek robotnicar. W wyniku tego przeglądu „w umyśle tkwiło jedno jedyne słowo, przemierzenie i bolesne, mieszczące w sobie cały prawie rezultat myślenia: motłoch... Przemysł fabryczny, stupudowy młotem drugoczący rzemiosło, w tym celu, żeby płodami trudu obdarych tłumów zalać rynki bez najmniejszego pożytku dla cywilizacji miejsca, z którego się począł”.

Zagadnienie zostało postawione.

Jak ustosunkował się Raduski do przeobrażeń społecznych i gospodarczych Łżawca? Dla zdeklasowanych kupców i rzemieślników, z którymi żył się w czasach szkolnych, ma sentymentalną tęsknę w oku, lecz w gruncie rzeczy jest za bardzo pozytywistą, by potępiać brutalne bo brutalne, ale w każdym razie wyraźnie przybliżenie Łżawca do „cywilizowanego” świata. Jako dziecko liberalizmu wierzy w dewizę laissez faire, laissez passer i w charakterystyczny fatalizm rozwoju stosunków gospodarczych. Uznaje samoczynność i samoregulowanie procesów gospodarczych na tym najlepszym ze światów i twarde prawo walki konkurencyjnej. Nie świta mu jeszcze myśl, że ten system nie jest konieczny. Lecz jako altruista nie może przejść obojętnie o bok ofiar wojującego kapitalizmu i przyimu-

je smutną rolę zbieracza trupów i sanitariusza pobożowisk, na których ludzie pokroju Koszczyckiego walczą o „pieniącha”.

W rozmowie z Żłopowiczem, wypowiada Raduski swoją doktrynę społeczną: „wszyscy powinniśmy mieszkać czysto i ciepło, choździć w kortowych ubraniach, nie zaś w galganach. Ale jakże możemy przyjsić do tego, kiedy pasibrzuchy z głupoty dają bałę za balami, jeżdżą kareta” dla mody, utrzymują próżniące dziewczyny i w takie bagna ciskają nasze pieniądze”.

Doktryna ta, to stary katechizm wiary liberala. Cel gospodarki społecznej, to powszechny dobrobyt. Środki — to oszczędność społeczna.

Chodzi o to, by „pasibrzuchy” zamiast przepuszczać pieniądze — inwestowały (zawsze coś na tym mimochodem zarobi ludek łżawiecki), a co im zbywa, zużywały na cele charytatywne. Na uwagę zasługują jeszcze słowa Raduskiego: „nasze pieniądze”. Raduski znajduje się tu o krok od socjalizmu, gdy pozwala sobie zauważyć, że kapitał nie jest tylko prywatną własnością pasibrzuchów, lecz stanowi pewne dobro społeczne.

W twórczości Żeromskiego ścierają się dwa zasadnicze pierwiastki: brutalna wizja życia takiego, jakim ono jest i wizja życia takiego, jakim być powinno. Nie należy sądzić, że Żeromski aprobował tylko wizję drugą. Przeciwnie, świat zastany, świat rzeczywisty pociągał go swoją przewagą materialną. Jednostki ujemne w powieściach Żeromskiego górują zazwyczaj nad dodatnimi praktycz-

Paulina Czyżowa

Katolicka pochwała wsi

Wśród pism literacko - społecznych w Polsce Tygodnik „Wiś” specjalizuje się w sprawach wiejskich. Wydawałoby się, że publicystów piszących o wsi i redakcję innych pism powinna obowiązywać ogólna choćby orientacja w stanie publicystycznych i reportażyowych osiągnięć tego pisma, które w skali ogólnej poświęca się problematyce wsi. Publicystyka wiejska „Wiś”, nie przesadzając w tej chwili o jej wartości, stworzyła typ reportażu artykułowego, opartego na wiedzy socjologicznej, operującego faktami jednostkowymi dla ukazania określonego, kierunkowego systemu rzeczywistości. Umyslnie ograniczamy się do wycięcia formalnych cech tego rodzaju reportażowego. Chcemy bowiem pokazać naszym czytelnikom inny typ reportażu wiejskiego uprawianego przez publicystykę Katolickiego Tygodnika Społecznego „Dziś i Jutro”. Same różnice formalne, literackie odsłonią ideologiczną przepaść między ujęciem wsi naszym a pisma katolickiego. Literat wyjeżdża sobie na wieś, patrzy, obserwuje, rozmawia z ludźmi, a wiedza, jaka wynosi stąd, nie ma nic wspólnego z obiektywną rzeczywistością t. zn. z jakimkolwiek naukowym i sprawdzalnym ujęciem. Dziennikarskie impresje wiejskie pisarza katolickiego podpierają tylko jego prywatny światopogląd, jego plebańskie nawyki myślenia o wsi.

Będzie mowa o reportażach wiejskich Józefa Majkuta w „Dziś i Jutro”. Redakcja tego pisma, które znamy jako pismo par excellence polityczne, poprzedziła cykl reportażów wiejskich Majkuta wstępem, w którym zastrzegła się, że reportaż te pozbawione będą pierwiastka publicystycznego czy polemicznego. „Ujrzymy więc samą „neutralną” rzeczywistość tego środowiska, które tak mało jest znane publiczności literackich pism w Polsce, ponieważ nikt się nim nie zajmuje. (Robimy to w naszym piśmie od 4 lat).

W trzech kolejnych reportażach z cyklu „Wiś bez kurtyny” Józef Majkut odmalowuje ciężkim pendzlem starą kurtynę zawieszoną od dawna na teatrze wsi. Zresztą i farby nie są świeże — maluje się zużyłymi i banalnymi środkami literackimi podrzędnej powieści w której wieś wprowadzona jest dla efektu swojskości, świeżości pejzażu.

Majkut ukazuje wieś jako wzór moralny dla zepsutej kultury urbanistycznej, a przede wszystkim w systemie „służby Bożej”, w instytucjach kółka rożanowego, kapliczki i naturalnej „zdrowej spółdzielni”, jaką jest źródło, z którego cała wieś czerpie wodę: „Niedaleko od tego obiektu nad kryniczny strumieniem stoi od wieków potężna lipa: ostatni Mohikanin miodem pachnącej puszczy — święte Gromadzkie Drzewo Majdanu. W okresie kwitnienia sadu, gdy szary zapadnie mrok lub mleczna poświata księżyca, roznieś się zapach jaśminów i bżów, ze wszystkich ulic i przełazów wychodzi radośnie uśmiechnięta młodość. Wszyscy pod kołnary staruszek lipy, do kapliczki św. Jany, starsi modlą się za grzechy młodości, młodzi dziękują za radość życia”.

Oto wieś. Toteż dla młodzieży zebranej na drodze wiejskiej zasadniczym problemem jest, dokąd iść? „Na różaniec do kapliczki w pobliżu, gdzie w tej chwili mamy i ciotcie pieją nabożne pieśni — czy też na Podbielne, na zabawę, skąd słychać skoczne tony harmonii...”

Wprawdzie szatan podszeptnął najpierw zdrożny wybór — na zabawę, ale zdrowe sumienie młodzieży wiejskiej, zwłaszcza tej z kółka rożanowego, przeważało — udano się na modlitwę. Potem dopiero zabawa. „Mimo braku jakiegokolwiek propagandy

nością życiową, konsekwencją w działaniu, co więcej, typ zdecydowanie negatywny jakim jest w „Promieniu” karierowicz, adwokat Koszczycki znajduje się bliżej prawdy społecznej ówczesnego świata mieszczańskiego niż apostoł społeczny — Raduski. Koszczycki reprezentuje w powieści „człowieka epoki”, mikrokosmos kapitalizmu drapieżnego. Jest on pewną doskonałą całością artystyczną, pokazującym okazem oświeconego kapitalizmu. Koszczyckiemu powiodło się w życiu. Zrobił „dużego pieniacha” za cenę paru tam skrupułów moralnych. W karierze pokierował się swoistą filozofią życiową. Nie wesoła to filozofia: „natura człowieka jest zła, co więcej podła” — zwierza się Raduskiemu. W takim świecie nie ma miejsca dla marzycieli, dla niedowarzonych społecznie, którym zarzuca niedołęstwo życiowe i dyletanctwo społeczne.

„Wy jesteście jacyś papierowi, płócienni, brązowi czy gipsowi, jacyś malowani ludzie. Wy nie macie wad, ale też dla mnie, daruję nie macie zalet. Człowiek zwyczajny to jest przede wszystkim człowiek, wieczny poszukiwacz chleba dla siebie i swych dzieci, jest to mrówka biegająca tu i tam...” O wartości społecznej według Koszczyckiego decyduje praca produkcyjna, zapobiegliwość w gromadzeniu dóbr ekonomicznych. Ludzie jak Raduski nie znają życia i nie potrafią popamiętać „szelmowskiej duszy ludzkiej”. Wpływ na kształtowanie się stosunków ludzkich mogą wyrzucić jedynie ludzie „zwyczajni”, ludzie interesu. Ci stanowią sami częstkę realnego życia i mogą czasem skorygować metody po-

stępowania własne i bliźnich. „Ja nie jestem od cnót” — oświadcza cynicznie Koszczycki — „sam się pożywię z ochotą na drugim, gdy mogę, ale urządzam sobie od czasu do czasu taki deser”.

Dotykamy tutaj zasadniczego zagadnienia „Promienia” a mianowicie sensu pracy społecznej. Prawdziwa praca społeczna ma to do siebie, że zmierza w pierwszej linii do wykrycia zasadniczych przyczyn bolączek życia społecznego a następnie do zwalczania ich w sposób planowy i konsekwentny. W odróżnieniu od pracy społecznej filantropia jest zawsze jałmużną, łaskawym gestem w celu doraźnego polepszenia czyjejś sytuacji, bez dociekania istoty zła. W tym ujęciu filantropia zwraca się do samego dobroczyńcy, stąd do uspokojenia jego sumienia. W Raduskim walczy, społecznik z filantropem. Typowym odruchem filantropijnym, powiedzmy więcej, odruchem naturalnym, gdzie przejawia się właściwy charakter Raduskiego, są choćby takie rozważania na widok dziewczyny niedzarki piorzącej swoją jedyną koszulę na Wielkanoc:

— „Wejść do tej sionki, cisnąć na środek sto rubli...” — Wyjał z kieszeni pugilares, otworzył jedną ze skrytek i szukał w niej palcami przez chwile. Potem zamknął go szybko i odszedł z tego miejsca. W myśli przesunęło mu się w tej chwili zdanie: „Jako woła daśsi pragnienie, tak jałmużna wysusza grzech i dziki śmiech niby echo zabrzmiął po nim w duszy.” — Więc i w tej sprawie o mnie chodzi, o moje grzechy, nie o tamtego człowieka”.

Raduski nie dostrzega istotnych przyczyn zła społecznego tkwiącego głęboko korzeniami w ówczesnej strukturze społecznej. Stąd jego działalność charytatywna nierazdoko zmierza tylko do przedłużenia wegetacji obumierającego ustroju przez bandażowanie jego cuchnących ran. Raduski jest smutnym idealistą, który chce rozwiązywać problemy społeczne na płaszczyźnie przede wszystkim moralnej, przez apelowanie do serc możnych. Jego organ „Echo Łżawieckie” dąży do poprawy bytu ludzi pracy i podnoszenia kultury w drodze informowania świata o rzeczywistym położeniu „motłochu” łżawieckiego i udzielania admonicji moralnych.

W okresie tym niewątpliwie otarł się Żeromski o socjalizm, lecz trzeba było jeszcze długiej drogi od „Promienia” do „Przedwiośnia”, by wziąć na serio możliwość przemian na tej drodze. Na razie Żeromski nie roztrwonił jeszcze swej spuszczyny idealistycznej, owych 20.000 rubli Raduskiego po stryju. Ciąży na nim urok Szwajcarii, gdzie przeciwstawia klasowe zamaskował dobrobyt i specyficzne warunki tego kraju.

Jeśli taka postawa może coś usprawiedliwić, to chyba beznadziejność ówczesnego położenia politycznego, gdzie żadna myśl postępowania nie mogła być popularyzowana legalnie. Pozostawało bandażowanie ran.

Raduski nie jest postacią odosobnioną w życiu naszych miasteczek prowincjonalnych. Konieczność oparcia każdej prawdziwej pracy społecznej na ruchach postępowych powodowała, że do niedawna mieliśmy do czynienia raczej z filantropią niż pracą społeczną. Lenistwo duchowe, konserwatyzm, paniczny lęk przed poderwaniem usankcjonowanego status quo nastawia negatywnie syte warstwy społeczeństwa wobec każdego przejawu realnej pracy społecznej. Dość wspomnieć o trudnościach, z jakimi musza się borykać na prowincji dzisiejsze organizacje społeczne o światopoglądzie postępowym.

Tym łatwiej wegetuje za to filantropia — owo okupywanie się, usprawiedliwianie własnej obojętności przez rzucenie paru groszy na jakąś tam kwestę, które najpóźniejszy chyba wyraz znalazło na tabliczkach wydawanych przez „Caritas” tej mniej więcej treści: „Zebrałom wstęp wzbrowniony! Jałmużnę wydaję za mnie biuro „Caritas”. W ten sposób doszło do zryczakowania ofiar i zorganizowania jałmużny. Oto wszystko, na co filantropia mogła się w tej dziedzinie zdobyć.

Niepotrzebnie redaktor Olsniony widzi w Raduskim konkurenta. Na dłuższą metę Raduski nie jest niebezpieczny. Nawet jeśli ma silne nerwy i spory kapitalik w banku. Nawet, jeśli przetrzyma próbę mądrego łoża jaką w imię etyki zgoutują mu Koszczycki i Olsniony. Owszem krzykacz uczynny. Wariatowi da się spokój. I na wariatach można zrobić niezły interes. Ich niegroźne działania wzmacnia autorytet pasibrzuchów. Z Raduskiego zrobią sobie reklamę i parawan dla swych postępków. Nazwiskiem Raduskiego można będzie zamykać usta malkontentom: „Zarzućcie nam sobokostwo” patrzcie, czego dokonał jeden z nas! Gdzie społecznik zostanie prezesem iluś tam filantropijnych kółek, gdy porośnie w piórka i zacznie rozczulać się nad ogromem „orki na ugorze”, jakiej dokonał — podtatuje się, wejdzie do towarzystwa, nauczy się dobrych manier, puszystych mów — i gipsowy biust diabli weźmą.

Niebezpieczna u Raduskiego jest tylko młodość i 20.000 rubli po stryju (sam Raduski zapewne nigdy nie potrafiłby zarobić takiej sumy). Z ich pomocą może jeszcze jakiś czas psuć krew Olsnionemu. Ale tylko jakiś czas. Gdy wygasną złudzenia młodości, gdy wyczerpie się fortuna stryjowa — Raduski automatycznie przestanie się liczyć.

* Filantropia nie może istnieć bez łaskawego „pieniacha” sytych. Jest przecież tylko desersm Koszczyckiego.

*) Stefan Żeromski „Promień”. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1948.

Marian Lityński

Przegrupowania w produkcji rolnej

W przeciwieństwie do utartego poglądu, że wyłącznym producentem warzyw jest podmiejski ogrodnik — dane statystyczne z r. 1946 stwierdzają, że:

a) w zakresie produkcji owoców — 85,4% jest w ręku chłopów, 8,5% w resztówkach Zw. S. Chł., zaś 6,1% w ręku państwa (P.N.Z., P.Z.H.R. i tp.);

b) w zakresie produkcji warzyw — 74,7% w ręku chłopów, 7,4% w resztówkach Zw. S. Chł., 13,6% w ręku państwa (P.N.Z., P.Z.H.R. i tp.) zaś tylko 4,3% w ręku ogrodników podmiejskich.

Co to oznacza? Oznacza to, że 3/4 obu użytkowych działów ogrodniczych znajduje się w ręku chłopów, t. zn., że produkcja ma miejsce na rozdzielonych parcelach i skutkiem tego jest trudna do ujęcia tak pod względem technicznym, jak i dystrybucji.

Według cyfr z r. 1947 około 2 miliony ton warzyw i około 1 miliona ton owoców wyprodukował w 85% drobny warsztat chłopski.

Planowane uprzemysłowienie kraju stwarza szczególną koniunkturę dla rozwoju miast. Miasta i większe osiedla fabryczne muszą być zaopatrzone w warzywa — przeto rozwój miast wpływa pośrednio na rozwój upraw warzywnych. W wyniku postępującego uprzemysłowienia zmniejsza się nadmiar ludności wiejskiej — zwiększa się opłacalność pracy w rolnictwie, co na tle ogólnych braków w wyżywieniu świata w perspektywie wielu lat — przy zmianie na całym świecie metod odżywiania się człowieka — wyklucza powrót tragicznego przed wojną zjawiska: emigracji chłopów.

Ale do produkcji warzyw nie zaliczamy tylko pozyskania surowca — ale także wliczyć tu należy zakłady przetwórcze, jako odciłek nierozdzielnie związany z planową gospodarką tej produkcji. Pod tym względem mamy ogromne niedociągnięcia np. na naszych Ziemiach Odzyskanych, na których przemysł przetwórczy posiada około 17 odbudowanych w 90% wytwórni — przy bardzo słabej bazie surowcowej. Gospodarka planowa nie może na dłuższą metę tolerować istniejącego stanu rzeczy. Jest źle — i to tak na odcinku produkcji, jak dystrybucji. Jest pilna potrzeba najrychlejszego uchwycenia w społeczne ramy dotychczasowej dzikiej w swej masie produkcji warzyw i ich rozprzeczania, a to ze względu na racjonalne i planowe zaopatrzenie ludności pracującej. Produkcja warzyw musi ustawić się na nową, inną niż dotychczasowa, płaszczyznę społecznej, musi uwzględnić także inne, nie prywatne źródła gospodarcze, w szczególności spółdzielcze i państwowe.

Czy jest to ekonomicznie i społecznie uzasadnione? Odpowiedź na to doświadczenia na zachód i wschód od naszego kraju, które potwierdzają wyższość i rentowność gospodarki na większych przestrzeniach, umożliwiających użycie maszyn i silników w uprawach i zbiorze roślin uprawnych.

Gospodarka planowa nie może również tolerować obecnych form zaopatrywania miast i osiedli fabrycznych w warzywa.

Obecne formy sprzedaży (np. t. zw. ziele-

niaki) zapewniają jedynie miejsce dla dowożonego, czy donoszonego produktu — nie ujmują zaś ani podaży, ani popytu, co prowadzi do częstego zwrotu podawanego materiału do producenta i ogromne, społeczne marnotrawstwo czasu człowieka wsi. Wydaje się, że socjalistyczna gospodarka planowa, eliminując momenty konkurencji na rzecz współzawodnictwa, może rozwiązać to zagadnienie jedynie przez uspołecznienie tak produkcji, jak i dystrybucji warzyw w kraju.

Wynikają z tego potrzeby przemysłowania nowych form produkcji i dystrybucji warzyw. Spółdzielnie ogrodnicze muszą dążyć do stopniowej zmiany starego systemu zbytu surowca i wypracowania nowego. Taka sieć spółdzielni — zaopatrzona w chłódnię, nawet początkowo prymitywną — regulować winna podaż, likwidując przypadkowość dowozu i donoszenia surowca.

Dlatego nie możemy poprzestać na nauczaniu warzywnictwa na określaniu metod dobrej produkcji tak na gruncie, jak pod szkłem, ale musimy zainteresować się dalszym losem wyprodukowanego surowca i jego spożytkowaniem przez społeczeństwo — możliwością nabycia przez szerokie warstwy pracujących. Cóż za wartość społeczną przedstawia nawet najidealniej wyprodukowany surowiec i najstaranniej podany na rynek, jeśli jego konsumentem nie będzie ta baza społeczna, której na imię świat pracy. Musimy pamiętać, że świeże warzywa to energia społeczna, to zwiększenie intensywności pracy, to ograniczenie chorób, które prowadzi do straty roboty-godzin.

Mamy prawo przypuszczać, że jako wynik dokonanych u nas reform społecznych — zwiększy się baza społeczna konsumentów. Już dziś pewną rolę propagandową spełniają t. zw. stołówki pracownicze. Wielkie zadanie na tym polu stoi przed Społ. Obyw. Ligą Kobiet, która winna zorganizować w skali najbliższych lat akcję wykładów popularnych na temat biologicznej wartości warzyw i sposobu przygotowania ich z zachowaniem składu witaminowego. Będzie to wielka akcja na rzecz popularyzacji umiejętnego spożycia.

Zdaniem moim, w ramach planowej gospodarki krajowej produkcja warzyw winna być tak zorganizowana, aby:

- a) pokryć zapotrzebowanie społeczne w skali odpowiadającej większemu zużyciu na głowę ludności;
- b) zachować w podawanym surowcu pełną wartość odżywczą na zasadzie nowoczesnej wiedzy o higienie odżywiania się człowieka;
- c) spożytkować w racjonalny sposób na drodze przetwórczej produkty warzywno-owocowe nie mogące być spożytkowane w stanie świeżym, oraz handlowe odpadki tych produktów.

U nas spożycie warzyw jest bardzo niskie. Należy wywołać idące oddolnie społeczne zamówienie na tę produkcję. Tak, jak dziś niestety sprawy te wyglądają — oglądamy się za eksportem niektórych warzyw, nie mając zapotrzebowania nietylko faktycznego, ale faktycznie istniejącego.

Dlaczego sprawa zwiększenia spożycia świeżych warzyw i owoców jest tak istotna?

Wynika to ze zmiany modelu gospodarczego Polski, z jej postępującego uprzemysłowienia. Gdy w epoce poprzedzającej industrializację w krajach Europy zachodniej i Ameryki system odżywiania się społeczeństw można byłoby nazwać naturalnym, to dziś jest on funkcją posiadanego wyrocznia i siły kupna pieniądza. Dawniej mieszkańiec wsi zaspakał potrzeby organizmu wytworami otaczającej go przyrody o pełnej biologicznej wartości, gdyż czerpał je z bezpośredniego swego otoczenia. Dziś mieszkańiec miasta odżywia się dostarczonymi mu środkami spożywczymi o wysokiej cenie wartości kalorycznej t. j. energiotwórczej, ale o niskiej biologicznej. Wiemy o tym, że im większe uprzemysłowienie kraju, im gęstsze jego zaludnienie, tym większa jest ostrość problemu racjonalnego odżywiania się ludności właśnie miast i osiedli fabrycznych.

Polska zmienia niezwykle szybko model gospodarczy, z kraju rolniczego o 70% ludności odżywiającej się systemem zbliżonym do naturalnego — zmienia się w kraj przemysłowo-rolniczy, w którym już za niewiele lat tylko 30% ludności zajętą będzie w rolnictwie, reszta zaś pracującą w przemyśle i usługach odżywiać się będzie w sposób, daleko odbiegający od naturalnego. Jakże mogą być skutki takiego odżywiania? Obserwujemy je w wysoko uprzemysłowionych krajach, o niskim spożyciu świeżych warzyw i owoców. Objawia się ono w osłabieniu energii pracy, w jej wydajności, w zaburzeniach przemiany materii, w zwiększonym % chorób i tp. Wiedząc o tym na zasadzie doświadczeń innych narodów — należy wcześniej przystąpić do środków zapobiegawczych, a do tych niemal wyłącznie należy zaopatrzenie pracującego człowieka w świeże warzywa i owoce przez cały rok. Pełne rozwinięcie produkcji surowca warzywnego tak w gruncie, jak i pod szkłem może problem rozwiązać.

Badania wykazują, że przemiana materii jest bardziej żywca, zużycie energii znacznie ekonomiczniejsze w wypadku, gdy do codziennego pożywienia człowieka wchodzi choćby nieznaczny dodatek świeżych lub kiszonych warzyw. Z ciekawych doświadczeń nad witaminą A wynika np., że zawartość tej witaminy jest wyższa w suchej substancji pomidorów, niż w masle.

Witamina ta znana jest również z tego, że przy przemianie materii w organizmie odgrywa rolę czynnika wprowadzającego oszczędniejszą gospodarkę tłuszczami. Jest to ważne dla społeczeństwa, szczególnie w okresie racjonalizacji gospodarki tłuszczami. Działanie alkoholu jest pod tym względem diametralnie przeciwnie. Można śmiało powiedzieć, że propagując spożycie warzyw — zmierzamy ku oszczędniejszej gospodarce tłuszczowej.

Stwierdzono np., że okolice, w których uprawiano wiele warzyw zużywały dziennie 30% tłuszczów poniżej średniej, podczas gdy okolice bez uprawy warzyw, wzgl. ich ograniczonej produkcji (i konsumpcji) zużywały 50% tłuszczu powyżej przeciętnej dla całego kraju.

Wniosek — że to, co uprawiano, było używane. Wniosek jest taki, że trzeba policzyc, ile warzyw i owoców produkujemy obecnie, jaki to stanowi procent potrzeb konsumpcyjnych wszystkich ludności polskiej i wtedy obliczyć braki. Wtedy odpowiemy sobie na pytanie — ile produkować? Zobaczymy zapotrzebowanie wewnętrzne rynku. Sprawa eksportu jest sprawą dalszą.

Drugie pytanie — kto ma tę potrzebną ilość warzyw i owoców wyprodukować? Przekonywujących wypowiedzi Lityńskiego nie daje. Sugestie, że czynić to winni nie podmiejscy chłopci budzą szereg wątpliwości. Wątpliwości te zjawiają się jednak i przy innych propozycjach, takich np. że producentami będą: 1 — badylarze, 2 — P.N.Z., 3 — wsie gminne, 4 — rolnicze spółdzielnie produkcyjne, wreszcie 5 — Dolny Śląsk, a przede wszystkim południowa i wschodnia część Krakowskiego i cała Rzeszowszczyzna. Niechże planiści rozstrzygną tę sprawę i to rozstrzygną uwzględniając wszystkie jej strony. Oddając głos w kwestii techniki produkcyjnej specjalistom, chcę przy tej okazji zwrócić uwagę na kilka narzucających się momentów natury społecznej.

Oto cała akcja musi być zorganizowana w taki sposób, żeby omawianych produktów wystarczało dla wszystkich, żeby produkty te były wszystkim w każdej porze roku dostępne i żeby było na nie faktyczne zapotrzebowanie. Ostatni warunek brzmi paradoksalnie, ale jest oczywisty, gdyż w praktycznej obserwacji naszej wsi notujemy tragiczne sytuacje. W łowickim np. powiecie (który jest pod względem kulturalnym raczej przodującym niż zaporzonym) są wiosne, na których jest więcej opasów niż drzew owocowych. Przypadkiem się zdarza, że gospodarz wsadza przy płocie ciernik winięty lub sliwkę, wyznaczając jej funkcję zatykania dziury we wzmiankowanym płocie. Czasem wiatr posieje na miedzy „szlachetną” odmianę gruszy — tzw. ulegalkę. Pomidory, cebula, marchew, seler, pietruszka czy winogrona są tak dalece luksem, że się za nimi nawet nie tęskni. Widać nie rozumie pragnienia owoców i jarzyn. Widać, a również i przeciętny robotnik, nie wie o przetwórstwie owocowym i możliwości nabywania owoców i warzyw nawet w okresie zimowych mrozów.

Czy w wypadku, jeśli drogą kontraktacji odda Państwo w prywatne ręce chłopów produkcję owoców i warzyw, potrzeba konsumpcji wzrośnie? Czy chłopci przyjmą odpowiedzialność za tę produkcję i spełnią swój obowiązek? Czy jakość produkcji będzie zadowalająca? Czy nie lepiej z jednohektarowych proletariuszów rzeszowskich uczynić ogrodników? Warunki klimatyczne i glebowe przemawiają za tym właśnie projektem. Ale co wtedy zrobić z transportem? Jak zorganizować dowóz do miast, jak przekonać chłopów innych okolic do nabywania tych produktów? A może P.N.Z., a szczególnie spółdzielnie produkcyjne powinny prowadzić racjonalną uprawę i hodowlę ogrodnictwa. Ma ten projekt sporo zalet, choć nie jest i bez wad.

Trzecie pytanie — jak wyhodować wysokogatunkowy produkt, jak zorganizować przemysł przetwórczy? Odpowiedź na to pytanie jest, sądząc, niemożliwa, jeśli nie otrzymamy odpowiedzi na pytanie drugie. Jeśli natomiast ustalimy producenta, to w państwie socjalistycznym, nie bojącym się „uroków” prawa o malejącą wydajność gleby (w kapitalistycznym ustroju nawet gleba się buntuje), nie trudno jest zorganizować racjonalną uprawę. Mamy tego fantastyczne przykłady w Z.S.R.R. Nie trudno będzie również celowo rozbudować przemysł rolny, pamiętając przy tym o eksporcie na rynek zewnętrzny.

Zatem — panowie planiści! Panowie specjaliści! Jak chronić szerokie masy ludności przed awitaminizacją? Ile mamy produkować, kto i jak? Agromomów społecznych trzeba natomiast zapłacić, jaką drogą mają dojść do chłopów owoce i warzywa.

Należy wiedzieć i pamiętać

Wielkość gospodarstw w r. 1935 w r. 1947

do 2 ha	—	38%	25%
2—5 ha	—	27%	33,2%
5—10 ha	—	22%	27%
10—20 ha	—	11%	11,5%
ponad 20 ha	—	2%	2,8%

W wyniku reformy rolnej i zaludnienia Ziemi Odzyskanych spadł odsetek gospodarstw karłowatych o 13 proc. Powiększyła się ilość gospodarstw drobnych (2—5 ha) i średnich (5—10 ha) o 11 proc.

Gospodarstwa karłowate (do 2 ha) — obejmują: 6 proc. ziemi chłopskiej — 1 mil. ha — 2,8 mil. ludzi.

Gospodarstwa drobne (2—5 ha) — 22 proc. ziemi chłop. — 3,8 mil. ha — 4,5 mil. ludzi.

Gospodarstwa średnie (5—10 ha) — 35 proc. ziemi chłop. — 6,2 mil. ha — 3,8 mil. ludzi.

Gospodarstwa wielkochołopskie (10—20 ha i powyżej) — 37 proc. ziemi chłop. — 6,8 mil. ha — 2,4 mil. ludzi.

Gospodarstw jest:

do 2 ha — 700.000
od 2—5 ha — 988.000

Razem — 1.628.000 gospodarstw drobnych i karłowatych obejmuje 4,8 mil. ha z ludnością 7,3 mil. na 2,808.000 wszystkich gospodarstw chłopskich, na ogólną powierzchnię ziemi chłopskiej 17,5 mil. ha i na ogólną ilość ludności rol. 12,376.000.

Chłopi zatem drobnorolnicy zajmują mniej niż JEDNĄ CZWARTĄ ziemi chłopskiej, a stanowią więcej niż JEDNĄ TRZECIĄ ludności rolniczej, a obejmują więcej niż POŁOWĘ wszystkich gospodarstw chłopskich.

p. h.

Dla aktywistów ZSCH

W przemówieniu ministra Minca na ostatnim plenum KCPRP czytaliśmy, że pomoc państwa pójdzie dla średniorolnych i małorolnych chłopów. Udział w rozprawieniu tej pomocy będzie miał w dużym stopniu Związek Samopomocy Chłopskiej. Chodzi o to, aby trafiła ona pod właściwym adresem. Pytamy, w jakim stopniu drobnorolnicy i średniorolnicy są objęci organizacyjnie ramami tej instytucji? Sprawa nie przedstawia się dobrze. Ze sprawozdania sekretarza generalnego ZSCH Mieczysława Bodalskiego na Plenarnym posiedzeniu Zarządu Głównego w dniach 17 i 18 lipca 1948 r. — wynika, że poza Związkiem Samopomocy Chłopskiej znajduje się 1.312.000 — chłopów małorolnych.

Wymowna jest w tym sprawozdaniu jedna cyfra, mianowicie, że na ogólną liczbę członków na dzień 1 czerwca 1948 r. — 1.017.533 mieliśmy 1,3 proc. chłopów ponad 20 ha, co daje liczbę 13.692. — Zastanawia nas jeszcze jedna cyfra. Chłopów od 10 do 20 ha jest w Samopomocy 18% czyli 189.594. Pierwsza i druga grupa to chłopci niewątpliwie zamożni. Jest ich około 200.000. Należy przypuszczać, że uplasowali się oni z tradycji na stanowiskach czołowych w gminnych spółdzielniach Samopomocy Chłopskiej czy na ośrodkach maszynowych. Można się obawiać, że nie bardzo im zależało na przekazywaniu dotychczasowej pomocy państwowej biednym chłopom, można się obawiać, że nie bardzo im zależało również na tym, by rozszerzała się baza tych, którym pomoc w pierwszym rzędzie powinna być dana.

Aktywiści! Poza waszym związkiem jest 1.312.000 biednych chłopów! Pamiętajcie o tym. Czuwajcie nad tym, kto zajmuje stanowiska kierownicze na szczeblu gminnym waszej instytucji. Wprowadzajcie na nie drobnorolnych, a wtedy na pewno coraz szybciej będzie malała cyfra tych biednych chłopów, którzy albo nie widzieli interesu we wciągnięciu się do ZSCH, albo byli od niego odpychani.

M. K.

Kazimierz Podlasiak

Kilka pytań w sprawie warzyw i owoców

Ciekawy niewątpliwie artykuł Mariana Lityńskiego na temat znaczenia warzywnictwa, możliwości i wszechstronnych konsekwencji jego rozwoju każe dodatkowo postawić tak Autorowi, jak i innym specjalistom tego działu produkcji rolnej kilka pytań.

Produkcja warzyw i owoców jest ważnym działem w produkcji rolnej — to zgoda. Ze dotychczas nie wystarcza potrzebom własnym — również zgoda. Ze rozwija się po partyzancko, bezładnie, jak w starym, kapitalistycznym ustroju — jest niewątpliwą prawdą. Należy ten dział zatem jakoś uporządkować, uregulować, umiejscowić racjonalnie w systemie ogólnej produkcji planowo gospodarującego państwa. Stawiam zatem pytania, na które, albo nie ma w artykule Lityńskiego odpowiedzi, albo jest niepełna, lub też problematycznej słuszności.

Pierwsze pytanie — ile mamy produkować warzyw? Ile owoców?

O warzywa i owoce upominają się miasta. Dodajmy — przede wszystkim duże miasta: Łódź, Warszawa, Poznań, Wrocław, Kraków itp. Miasta te posiadają w swoim otoczeniu ożywną produkcję obydwoch artykułów w formach stosunkowo wysoko pod względem techniki postawionych. Dzięki przemysłowi przetwórczemu oraz ciepłarniom i przechovalniom (możliwe, że są ich zbyt małe ilości) ludność tych miast może teoretycznie spożywać produkty ogrodnicze przez cały rok. Wymiana między producentami i konsumentami odbywała się i obecnie odbywa na zasadzie absolutnej dowolności, tzn. ile producent zyczy sobie za kilogram, tyle (szczególnie zimną i wiosną) otrzymuje. Wynik? 95% ludności dużych miast je warzywa i owoce z „zieleniaków” tylko w okresie lata. Poza tym podziwla je przez wystawowe szyby. W miastach małych, osadach i wsiach o warzywach i owocach w miesiącach zimowych i wiosennych mówi się jak o zaczarowanym domku z piekarników. Zapytajmy przeciętnego chłopca — „niebadylarza”, zapytajmy przeciętnego obywatela z Wielunia, Miechowa, Brodnicy, czy innego Łukowa, zapytajmy

łódzkiego robotnika, warszawskiego urzędnika, zapytajmy górnika z Zagłębia, kiedy je pomidory, jabłka, gruszkę, rzodkiewkę, gróch strączkowy itp? Odpowiedź na pewno potwierdzi powyższe twierdzenie. Jaki z tego wniosek? Wniosek jest taki, że trzeba policzyc, ile warzyw i owoców produkujemy obecnie, jaki to stanowi procent potrzeb konsumpcyjnych wszystkich ludności polskiej i wtedy obliczyć braki. Wtedy odpowiemy sobie na pytanie — ile produkować? Zobaczymy zapotrzebowanie wewnętrzne rynku. Sprawa eksportu jest sprawą dalszą.

Drugie pytanie — kto ma tę potrzebną ilość warzyw i owoców wyprodukować?

Przekonywujących wypowiedzi Lityńskiego nie daje. Sugestie, że czynić to winni nie podmiejscy chłopci budzą szereg wątpliwości. Wątpliwości te zjawiają się jednak i przy innych propozycjach, takich np. że producentami będą: 1 — badylarze, 2 — P.N.Z., 3 — wsie gminne, 4 — rolnicze spółdzielnie produkcyjne, wreszcie 5 — Dolny Śląsk, a przede wszystkim południowa i wschodnia część Krakowskiego i cała Rzeszowszczyzna. Niechże planiści rozstrzygną tę sprawę i to rozstrzygną uwzględniając wszystkie jej strony. Oddając głos w kwestii techniki produkcyjnej specjalistom, chcę przy tej okazji zwrócić uwagę na kilka narzucających się momentów natury społecznej.

Oto cała akcja musi być zorganizowana w taki sposób, żeby omawianych produktów wystarczało dla wszystkich, żeby produkty te były wszystkim w każdej porze roku dostępne i żeby było na nie faktyczne zapotrzebowanie. Ostatni warunek brzmi paradoksalnie, ale jest oczywisty, gdyż w praktycznej obserwacji naszej wsi notujemy tragiczne sytuacje. W łowickim np. powiecie (który jest pod względem kulturalnym raczej przodującym niż zaporzonym) są wiosne, na których jest więcej opasów niż drzew owocowych. Przypadkiem się zdarza, że gospodarz wsadza przy płocie ciernik winięty lub sliwkę, wyznaczając jej funkcję zatykania dziury we wzmiankowanym płocie. Czasem wiatr posieje na miedzy „szlachetną”

Do czego to podobne?

Znam wsie o niesłychanie żywej ekspansji młodzieży do szkół, znam ośrodki, gdzie ogromną popularnością cieszą się wykłady Korrespondencyjnego Gimnazjum i Liceum Związku Młodzieży Polskiej, wiem również o tym, że młodzież chłopską można zdobywać przede wszystkim stwarzaniem jej możliwości kształcenia się. Na dowód niech służy fakt, że w ciągu 21 lat (od 1918 do 1939) we wsi Godzianów (patrz „Wies” nr 42 (171) art. J. Mozgi i D. Gałaja — „Przedsiębiorcy — działacze wsi”) wyższą szkołę ukończyły 2, a średnią jedna osoba. Natomiast w roku szkolnym 1947/48 było w szkole średniej 35, a na uczelniach wyższych 9. Drugim przykładem niech będzie wieś Wysoka w powiecie łancuckim. Przed wojną kształciło się w szkołach średnich 15 osób. Obecnie na wyższych uczelniach studiuje 22, a w średnich około 80. Gimnazjum i Liceum Korrespondencyjne Z.M.P. uczy blisko 5000 ludzi. Spółdzielcze Kursy Korrespondencyjne przerabiane są przez ponad 30.000 ludzi, z czego 80% stanowi młodzież wiejska.

Co to znaczy?

Znaczy to, że zbieramy na wsi owoce działalności nowego ustroju. Znaczy to, że u młodzieży chłopskiej rodzi się naturalne pojęcie swojej równowartości (bez sięgania do skarbcza agraryzmu — Nieckowej honorowości i chłopskiej nadwartości) w stosunku do reszty narodu, że młodzież idzie do miasta po wiedzę, a nie na służbę, że kształtuje nowy styl kultury, że obecny ustrój pośpiesznie likwiduje zapóźnienia rozwojowe wsi, likwiduje odwieczny model „pan — chłop”: pan do rządzenia, rozkazywania, „odczuwania” kultury duchowej i „tworzenia” tej kultury, a chłop do roboty, do służenia, do wykonywania zleceń.

Jest to zatem niesłychanej wagi osiągnięcie ustroju, jest to załatwienie rachunków powstałych w państwie — opiekunie klas posiadających. Wies płaciła państwu — państwo płaci obecnie wsi. Możliwe to jest dlatego, że państwo zmieniło funkcję. Dawniej opiekowało się klasami posiadającymi i głosiło solidaryzm społeczny, teraz zaś pomaga klasie pracującej likwidować resztki „starego porządku”. Pęd do nauki notowany u młodzieży chłopskiej jest jednym z licznych przypadków ilustrujących ten proces. To jest jego pozytywna strona. Przykładem negatywnej zaś jest panikarskie westchnienie żony jednego z wybitnych przedstawicieli wolnych zawodów w Łodzi (pochodzenie wiejskie, tęskni za wsią w stylu „Wsi i Państwa”, tzn. chętnie należałaby do T-wa Przyjaciół Rodzinnej Wsi, na ustrój narzeka znacznie mniej niż inni koledzy, czyli jest postępową itd.). Westchnienie to brzmi: „proszę pani, proszę pani, jakież to czasy. Ze wsi, proszę pani, przyjeżdżają teraz do miasta, ale przyjeżdżają się uczyć, a nie pracować. Nie chcą pracy. Ja już od trzech miesięcy szukam służącej i nie. Taka dziewczyna woli się uczyć, niż służyć. Do czego to podobne?”...

Gdyby owa pani pytanie swoje skierowała do (niedoszłej służącej) wiejskiej dziewczyny z medycyny, polonistyki, lub z któregoś wydziału W.S.G.W., zapewne otrzymałaby odpowiedź — to jest podobne, proszę szanownej pani, do sprawiedliwej Polski. A poza tym: niech pani przeczyta wypowiedzi Chałasińskiego i Kotta o inteligencji polskiej („Społeczna genealogia inteligencji polskiej” i „O Lalce Prusa”). Prawdopodobnie lekarstwo to pomoże pani. W wypadku ciężkiego chronicznego stanu choroby przy konsumpcji tego lekarstwa należy stuknąć się od czasu do czasu w czoło.

kp.

Instynkt wojowniczy czy brak wyrobienia?

W numerze 41 „Tygodnika Powszechnego” zwraca uwagę artykuł p. Anny Reiterowej, zatytułowany — „Czytelnictwo młodzieży w świetle badań”.

Powołując się na wyniki badań Instytutu Kulturalno - Oświatowego przy „Czytelniku”, pisze autorka wspomnianego artykułu, że najpoczytniejszym wśród młodzieży pisarzem jest Sienkiewicz ze swoją „Trylogią”. I przytacza następujący fragment z pracy zbiorowej Instytutu:

„Młodzież stwierdza, że znajduje się w jego dziełach pokrzepienie wewnętrzne, zadowolenie dumy narodowej, radość z przeżywania zwycięstwa i triumfu oręża polskiego, wielki zasób humoru i wesołości, naukę historii, podaną w sposób łatwy i przyjemny... zaspokoje instynkt wojowniczy i głód silnych wrażeń”.

Z kolei dowiadujemy się, że obok Sienkiewicza największą popularnością wśród młodzieży cieszą się — Orzeszkowa, Reymont, Prus, Kossak-Szczucka, Makuszyński, Curwood i Verne.

Można by rzec prosta zastanawiać się nad tym, czy to jest dobrze, że młodzież uczy się łatwo i przyjemnie historii na „Trylogii” albo, że posiada wojownicze instynkty, chodzi mi jednak o co innego, mianowicie o wnioski, jakie wysnuła z powyższego publicystka „Tygodnika Powszechnego”.

Oto one: „młodzież czyta dużo, umie wybrać i ocenić prawdziwie dobrą książkę. Ulubione książki utrzymują swoją, niezmienną od okresu przedwojennego aż do chwili obecnej pozycję. Zmienić ją może nowa, na tym samym poziomie artystycznym stojąca produkcja literacka, dostosowana do nowych pojęć i upodobań, gdy je wytworzy nowa rzeczywistość”.

Coś tu nie jest w porządku. Wierzę, że p. Reiterowa pomyślała głęboko, zanim sformułowała cytowane wnioski, a jednak eo krok to większa pomyłka.

Zacznijmy od początku. Młodzież nie czyta dużo, ale właśnie mało. Zdanie to potwierdza ci wszyscy, którzy uczestniczyli przy niedawnych egzaminach maturalnych. Młodzież u-

nie wybrać książkę? Żeby wybrać, trzeba mieć z czego. Tymczasem od wielu lat przepisana na średnie szkoły literatura obejmuje tylko wspomnianych wyżej autorów. Rzadko kiedy sięga w literaturę okresu międzywojennego, prawie zaś wcale w ostatnie 4 lata. Więc cóż to za dobry wybór? Z czego? Wiadomo przecież, że dziewczęta czytują chętnie nie tylko Czarską, ale również Zarzycką i Courts-Mahlerową, a chłopcy Baxtera i Zane Grey. Ale o tym kroniki milczą.

Następnie wynika z wniosków p. Reiterowej, że stan taki utrzymuje się dotąd, póki nowa rzeczywistość nie wytworzy nowych pojęć i upodobań, póki nie powstanie nowa, dobra literatura powojenna.

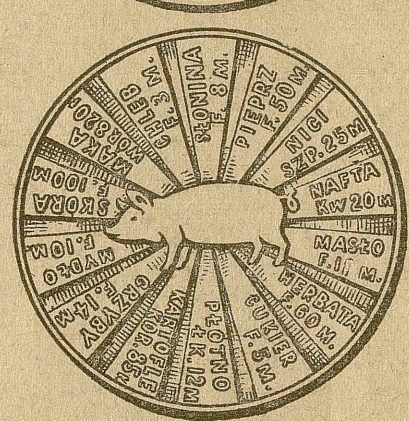
Jakto, więc nie ma powojennej literatury na dobrym poziomie? Niechęć autorki wspomnianego artykułu do Kotta, Ważyka, Jastruna, Hertza, Brezy, Broniewskiego, Andrzejewskiego, Nałkowskiej mogłaby być z pewnych względów zrozumiała, ale po wojnie piszą przecież: Żukrowski, Dobraczyński, Gołubiew, czy Zawieyski. Czyżby ich tak nie warto było czytać?

Proponuję zupełnie inne wnioski; mianowicie: nasza młodzież nie czyta dużo i często wybiera książki źle. Ulubione od kilkudziesięciu lat przez młodzież książki utrzymują swą pozycję nie dlatego, że przez te lata nikt w Polsce nie dobrego nie napisał, ale dlatego, że młodzież nie zastawia się odpowiednio obowiązującej literatury i nie wyklada dzieł literatury od Wielkiej wojny do chwili obecnej.

B. U.

Trzydziestolecie spekulacji (1918-1948)

Leży na moim biurku nie byle jaki nabytek numizmatyczny: „Medal wybitny na chwałę spekulantom w 4^{ym} roku wojny 1918”. Po jednej stronie tego medalu tuż pod datą wyryto w brązie pasek, jako symbol spekulacji, po drugiej — opasła świnią, jako znak herbowy spekulantów. Świnia jest umieszczona w



środku medalu, zaś wokół niej utrwalono na wieczną rzecz pamiętkę ceny najważniejszych artykułów pierwszej potrzeby. Oto one:

1. Mąka worek	— 820 marek
2. Chleb funt	— 3 „
3. Ślona funt	— 8 „
4. Pieprz funt	— 50 „
5. Nici szpulka	— 25 „
6. Nafta kwarta	— 20 „
7. Masło funt	— 18 „
8. Herbata funt	— 60 „
9. Cukier funt	— 5 „
10. Piótno łokieć	— 12 „
11. Kartofle korzec	— 85 „
12. Grzyby funt	— 14 „
13. Mydło funt	— 10 „
14. Skóra funt	— 100 „

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPIŃSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000,— zł; 1/2 kolumny 30.000,— zł;

1/4 kolumny 15.000,— zł; 1/8 kolumny 8.000,— zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, al. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60,— zł, kwartalnie 180,— zł, półrocznie 360,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 2.
D—030364

F A K T Y i Z D A N I A

Medal, jak z tego wynika, przedstawia pewną wartość dla historyka gospodarczego, badającego dzieje najnowsze. Pomysł wybita medalu wyszedł z otoczenia Rady Regencyjnej. Był to w przekonaniu dygnitarzy regencyjnych jedyny skuteczny środek na zwalczanie spekulacji, środek dowcipny bezsprzecznie lecz symboliczny. Klasy ziemian i burżuazja, stanowiące podporę rządów Rady Regencyjnej w tzw. Królestwie Polskim, uśmieły się z medalu i spekulowały dalej.

Trzydzięci lat upłynęło od wybita tego historycznego medalu. Dziś w czwartym roku rządów demokracji ludowej w Polsce Odrodzonej Komisja Specjalna napewno nie zamierza wybić medalu „na chwałę spekulantom”, mając do dyspozycji Mielęcin i inne niemiernie skuteczne środki ich wychowania. To, co z omawianego medalu warto zatrzymać „na chwałę spekulantom” — to raczej sam herb — świnię i pasek, nie w znaczeniu symbolicznym, lecz rzeczywistym — stryczka.

W. Ł.

Znów „Untergang des Aleksander”

W czasopiśmie amerykańskim „Air affairs” ukazał się przed niedawnym czasem artykuł uczonego socjologa Lewisa Manforda pt. „Społeczne następstwa odkrycia bomby atomowej”. Artykuł należy do tej wielkiej partii historycznych wypowiedzi — jakich wiele dziś ukazuje się w prasie amerykańskiej. Nie byłoby w nim nic ciekawego — gdyby nie nasuwał na myśl tragicznych analogii. Ale najprzód zapoznajmy się z jego treścią.

Na wstępie Manford odsuwa wszelkie możliwości zakazu produkcji broni atomowej. Na tej płaszczyźnie zaczyna snuć horoskopy przyszłości. Mówi, że wojna atomowa nie będzie ani krótka, ani tania, że ci, którzy ją rozpoczyna zapłacą za nią materialnie i moralnie nie mniej — o ile nie więcej — niż ci, którzy będą się przed nią bronić. „Tania, jednostronna wojna przeobraża się w wojnę kosztowną — pisze. Przewidywano wojnę błyskawiczną, dziś jest pewne, że wojna toczy się będzie bez końca”.

I dalej kreśli wpływ wojny atomowej na stosunki społeczne i gospodarcze — sprawa dotyczy przede wszystkim Ameryki.

„We wszystkich dziedzinach życia zaznacza się upadek twórczej działalności. Więcej — obserwuje się regres... Życie sprowadzone do prostej vegetacji — vegetacji, w oczekiwaniu śmierci. Odżywają stare religie, głoszące wiarę w świat pozagrobowy; rozkwita magia i astrologia, które pretendują do roli naukowych pewników. Strach nakłania nawet uczonych-atomowców do poszukiwania ratunku w tym lub innym kulcie. Młode pokolenie, wyrastające w takim świecie, jest całkowicie zdemoralizowane. Ci młodzi charakteryzują samych siebie jako pokolenie, które wyciągnęło na loterii pusty los. Ginie wiara w bezgraniczną ciągłość ludzkiego gatunku. Ginie odczucie przyszłości, któreby odsoniło jakiejkolwiek bądź perspektywę. Przekonanie, że rychło nastąpi unicestwienie, likwiduje wszelkie plany, obliczone na długi okres czasu — a całą działalność sprowadza do wymiaru jednego dnia, gdyż wychodzi się z założenia, że każdy dzień może być dniem ostatnim”.

W kraju — znów przypominamy, że autor ma na myśli w pierwszym rzędzie Stany Zjednoczone — ginie wszelka praworządność. Władze — despotyczna i faszystowska — sprawuje niewielką garstką techników i inżynierów — speców od broni atomowej — i wysokich oficerów sztabowych. (Manfordowi niewygodnie zapewne dodać, że będą oni na służbie wielkich monopolistów)... „Grupa osób, dzierżących w swych rękach władzę, zamaskowanych zwolenników Hitlera, neo-hitlerowców, sądzi, że nadszedł już czas ustanowienia władzy jednego narodu nad całym światem — nawet gdyby zginęło przy tym pół świata i połowa samego narodu”.

A wówczas — „Życie człowieka opadnie do poziomu granicznego z vegetacją idioty... Zdoła on tylko ocalić w sobie nędzne resztki intelektu, straci wszelkie inne zdolności, wyróżniające go jako człowieka”.

I dalej kreśli autor wizję życia pod ziemią — w miastach podziemnych, tunelach, domach bez naturalnego światła słonecznego — przy bezustannie słabnącym tętnie życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Gdy to nastąpi Stany Zjednoczone zamienią się „z państwa policyjnego, w państwo — więzienie, a więźniowie nie będą nawet wiedzieli jaka pogoda panuje poza murami więzienia”.

Wszystko będzie przecież pod ziemią. Człowiek za życia spocznie w grobie, w którym władze sprawować będą bezsprzecznie zdolni i pojętni epigoni Hitlera. Przypomina to nieco dantejską wizję siódmego kręgu piekielnego — najniższego i najcięższego — gdzie człowiek potępiony tkwi głową w wielkim bagnie smoły, a nogami wywija w rozpalonym powietrzu.

Takie horoskopy przepowiada Ameryce i światu kapitalistycznemu amerykański socjolog. Nie mówi jednak nic co mogłoby świat uratować. Nie podaje ekonomicznych ani klasowych przyczyn, które wywołują tak tragiczną sytuację. Co gorsza — odrzuca możliwości światowego porozumienia — a bombę atomową uważa za fatum, które nieuchronnie kieruje losami świata i prowadzi go do ruiny. Jest to zapewne jakiś społeczny masochizm. Ale z wiadomymi celami. Prekursory niemieckiego hitlerizmu, od Styrnera do Spenglera wpałali w swój naród tragiczną postawę wobec życia i przepowiedali jego nieuniknioną zagładę. W konsekwencji przygotowywali naród do przyjęcia hitlerizmu i zamienili go w bandę grabieżców.

Tragiczna dla Ameryki analogia.

K. S.

„Czym jest dla Was Francja”

Sekcja Polska Radia Francuskiego ogłasza dla słuchaczy polskich konkurs na artykuł, felieton, opowiadanie, essay, nowelę lub wiersz na temat:

„Czym jest dla mnie Francja?”

Warunki konkursu podajemy niżej. Przy sposobności pragniemy zwrócić uwagę naszych czytelników, że nie powinni zabraknąć w nim głosów z naszego kręgu. Od tego bowiem, kto odpowie na pytanie konkursowe, zależy sens odpowiedzi.

W chwili, gdy toczy się walka proletariatu francuskiego o słuszną prawą do chleba i pracy, gdy ścierają się siły postępu społecznego z siłami wstecznymi, zawiśnię od dolarowych imperialistów — musimy udokumentować, że Francja prądowiwa, Francja wielka, Francja, która zaważyła na kulturze Europy — to Francja rewolucji i racjonalizmu, postępu i wolności. Stamtąd czerpaliliśmy podniecie do naszych bojów wyzwolenczych i społecznych w przeszłości, dziś wierzymy, że tamta Francja zwycięży, by zająć godne miejsce w rodzinie ludów wolnych od wyzysku i prawdziwie niepodległych.

Nasza solidarność z proletariatem francuskim oparta jest także o wieloletnie doświadczenia wspólnej walki w kopalniach i hutach Francji. Nasi reemigranci mogą powiedzieć, czym jest prawdziwa Francja. Jest to na pewno nie Francja Bluma, Queuille'a, Mocha, ale Francja ludu francuskiego.

Redakcja

SEKCJA POLSKA RADIA FRANCUSKIEGO W PARYŻU

organizuje wielki konkurs z nagrodami na artykuł, felieton, opowiadanie, essay, nowelę lub wiersz na temat

„CZYM JEST DLA MNIE FRANCJA?”

Warunki konkursu:

1. Objętość prac nie może przekraczać 12 stron maszynopisu z odstępem, tzn. 300 wierszy.

2. Prace nadsyłać należy najpóźniej do dnia 1 lutego 1949 roku na adres: Radiodiffusion Française, Section Polonaise, 118, av. des Champs Elysées, Paris 8-e, France — albo: Instytut Francuski, Warszawa, ul. Sikorskiego 35.

3. Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo jednorazowego ogłoszenia prac nagrodzonych i wyróżnionych w audycjach polskich z Paryża i opublikowanie ich przekładu w jednym z pism francuskich.

4. Autorzy trzech najlepszych prac otrzymają jako nagrody 5-lampowe radio-odbiorniki „Excellence 300”, które ofiarowała na konkurs jedna z najlepszych wytwórni francuskich „Sonora”.

5. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone dnia 15 marca 1949 roku.

KSIAŻKI NADESLANE DO REDAKCJI

Wydawnictwo Gebethner i Wolf

Jan Wiktor — W górskim słońcu — str. 78.

Władysław Reymont — Tomek Baran — str. 64.

Eliza Orzeszkowa — Gloria victis — str. 46.

Stanisław Wyspiański — Warszawianka — str. 51.

Bolesław Prus — Na wakacjach. Katarzyna — str. 26.

Henryk Sienkiewicz — Za chlebem — str. 108.

Kornel Makuszyński — Awantura o Basie — str. 214.

Włodzimierz Perzyński — Klejnoty — str. 475.

Ewa Szelburg-Zarebina — Ludzie z wosku — str. 286.